

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobięcy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 15 STYCZNIA 1927 ROKU

NR 3

TREŚĆ NUMERU: W pałacej sprawie — Z. W obronie pomników przeszłości — C. r. Z pedagogji „Dalekiego Wschodu” — Zofja Grzymałowska. Zróżniczkowanie się typu kobiecego po wojnie — C. Walewska. Jak słońce spija rosę (opowieść) c. d. — Helena Ceyingerówna. Wiersze: „Rezygnacja”, „Wiejska droga”, „Jarzębiny”, „Ponad wszystko” — Wiktoria Rymwid-Mickiewiczowa. Podróźni bez biletów — André Salmon. Szopen i pani Sand (dok.) — Józef Janowski. Z żałobnej karty — Z. Kobieta w świecie i w domu — Z. B. Książki, nadesłane do Redakcji. Z teatrów — Z. P. Dobry smak kobiecey, a ulubiony jej kącik. O wnętrzach mieszkaniowych — Zygmunt Knothé. W okresie bezlistnym — Stanisław Schönfeld. Skromne przyjęcie karnawałowe — Pani Elżbieta. Sosy i majonezy. Przepisy gospodarskie — Pani Elżbieta. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Pod znakiem prostoty — Well. Abażury papierowe. Bielizna, ozdobiona mereżką, Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety annamickie” — C. Chivas-Bazan (tłum. Dr. M. Kasterska). Arkusz wzorów.

W PALĄCEJ SPRAWIE

Opieka nad nieślubną matką i dzieckiem, dążąca do zapewnienia tym nieszczęśliwym niezbędnych dla normalnej egzystencji warunków, należy do najbardziej palących, a zarazem i najtrudniejszych może do przeprowadzenia reform społecznych. Przyczyny trudności rozwiązania problemu tego szukać należy w krańcowych różnicach poglądów na prawa, jakie posiadać winna matka nieślubna, zwłaszcza zaś na przywileje, przysługujące dziecku nieślubnemu pod względem uprawnienia do części dziedzictwa ojcowskiego, a chociażby tylko nawet prawa do poszukiwania tego ojca i uzyskania od niego pewnej pomocy materialnej.

Pod względem poglądów na tę sprawę panuje w prawodawstwie różnych krajów cywilizowanego świata chaos kompletny. Nie mówiąc już o państwach, w których dochodzenie ojcostwa jest prawnie wzbronione, są nawet i takie, gdzie dziecko nieślubne, opuszczone przez rodziców, nie ma prawa poszukiwać nawet własnej matki i domagać się od niej jakiegokolwiek bądź opieki. W innych znów krajach tylko sama matka obowiązana jest zapewnić dziecku nieślubnemu opiekę i utrzymanie i nie może się uchylać od spełnienia swoich względem niego obowiązków. Jednostronne to niesprawiedliwe prawo, nakładające cały ciężar moralnej i materialnej odpowiedzialności na jedną stronę z zupełnym pominięciem drugiej, znajduje dziś na szczęście uzupełnienie we wprowadzonych już w całym szeregu państw ustawach, pociągających również i nieślubnego ojca do odpowiedzial-

ności za egzystencję dziecka i zmuszających go do pewnych świadczeń na jego korzyść.

Świadczenia te i obowiązki z nimi związane, są bardzo różne. Tak np. ustawa, obowiązująca od 1915 r. w Norwegji, przyznaje dziecku nieślubnemu prawo do dziedziczenia po obojgu rodzicach, a nawet do nazwiska ojca. Taż sama ustawa określa, że dziecko nieślubne otrzymywać winno wychowanie i wykształcenie, odpowiednie do warunków materialnych i środowiska tego ze swych rodziców, który stoi na wyższym szczeblu społecznym.

W Finlandji wprowadzono w życie w r. 1922 ustawę dość skomplikowaną, odróżniającą „ojców nieślubnych”, którzy złożyli prawne zeznanie ojcostwa, od t. zw. „wspomagających” (soutiens), wyznaczanych przez orzeczenie sądu na podstawie zeznań matki i świadków, o ile dowiedzionem zostanie, iż dany osobnik utrzymywał rzeczywiście bliższe stosunki z matką przed przyjściem na świat dziecka. „Wspomagający” są obowiązani jedynie do pewnych, niezbyt wygórowanych, świadczeń materialnych na rzecz dziecka; ojcowie zaś muszą opłacać całkowite koszty utrzymania i nauki dziecka w stosunku, odpowiednim do swych warunków materialnych i społecznych; mają również prawo do legalnej opieki nad dzieckiem. Ustawa ta pozwala zatem dziecku nieślubnemu na zgłaszanie swych pretensyj do pewnej części spadku po ojcu, a nawet jego najbliższej rodzinie.

Niektóre z izb legislacyjnych Stanów Zjednoczonych poszły jeszcze dalej, zrównały bowiem pod

względem prawa spadkowego dzieci nieślubne ze ślubnemi, nakładając przytem na ojca obowiązek łożenia w równej mierze na utrzymanie tak jednych, jak i drugich.

W innych znów krajach wprowadzono instytucję t. zw. opiekunów rządowych, przejmujących na siebie do pewnego stopnia obowiązki ojca nieobecnego, lub nieznanego. W Szwajcarii, Austrii, Niemczech i krajach skandynawskich opiekun taki, opłacany przez państwo, dopomaga matce nieślubnej w dochodzeniu należnych jej praw, opiekuje się dzieckiem, załatwia wszystkie formalności prawne etc. Dzięki interwencji takiego opiekuna udaje się najczęściej odnaleźć ojca, lub „wspomagającego“ i uzyskać od niego świadczania, niezbędne do pokrycia kosztów wychowania dziecka. System ten przynosi podobno doskonale rezultaty w kierunku rozbudzenia wśród społeczeństwa poczucia odpowiedzialności za fakt powołania do życia istoty ludzkiej, to też liczba dzieci nieślubnych od czasu wprowadzenia tych ustaw zmniejsza się, podobno, z każdym rokiem.

Pomimo jednak tych wszystkich reform, zmierzających do polepszenia losu dzieci nieślubnych, oficjalne statystyki śmiertelności wśród dzieci wykazują jeszcze zawsze bardzo znaczną przewagę na niekorzyść dzieci, zrodzonych poza małżeństwem. Oto niektóre cyfry, zaczerpnięte z raportów urzędowych:

Na 1000 dzieci umiera w przeciągu pierwszych lat życia:

Kraj, lub miasto.	Dzieci ślubnych.	Dzieci nieślubnych.
Szwajcaria wedł. statystyki z r. 1922 . . .	93	159
Boston „ „ z r. 1914 . . .	95	281
Baltimore „ „ z r. 1921 . . .	84	128
Szwecja „ „ z r. 1920 . . .	59	86
N. Zelandja „ „ z r. 1921 . . .	45	86
Irlandja	66	210

Cyfry te wykazują aż nadto wymownie konieczność wydatniejszej i lepiej zorganizowanej pomocy dla tych najniešťczęśliwszych chyba i najbardziej upośledzonych przez los istotek, które przecież mają również prawo do opieki państwa i społeczeństwa.

Różnolitość ustaw, o której mówiliśmy wyżej, ma swoje źródło w zasadniczej sprzeczności poglądów na sprawę dzieci nieślubnych. Sprzeczności te zaznaczyły się nawet w środowisku, które, zdawałoby się, powinno pod tym względem mieć opinię całkowicie jednolitą, bo w świecie kobiecym. Raport Komisji Opieki nad nieślubną matką i dzieckiem przy międzynarodowym Związku Równouprawnienia Kobiet (International Women Suffrage Alliance), odczytany na tegorocznym kongresie paryskim, wywołał cały szereg rezolucyj tegoż kongresu, rezolucyj, które spotkały się z ostrą krytyką ze strony przewodniczącej innej, bardzo licznej i wpływowej organizacji kobiecej, Międzynarodowej Ligi Katolickiej Kobiecej (International Catholic Women's League). Pani Steenberghe w całym szeregu artykułów, drukowanych

w Courrier de Genève, zarzuca Międzynarodowemu Związkowi Równouprawnienia Kobiet, składającemu się, jak wiadomo, z przedstawicielek wszelkich narodowości, wyznań i poglądów, zmierzanie prostą drogą do rozbijania ogniska domowego i szerzenie demoralizacji przez branie pod opiekę matek i dzieci nieślubnych. W imieniu Międzynarodowych Lig Katolickich Kobiecych protestuje pani Steenberghe przeciwko rezolucjom kongresu paryskiego i twierdzi, że „opinia kobiet katolickich całego świata stoi na wręcz przeciwnem stanowisku, popartem autorytetem Kościoła“.

Przeciwko takiemu apodyktycznemu twierdzeniu występują bardzo stanowczo dwie inne katolickie organizacje kobiece, współpracujące z I. W. S. A., mianowicie — Angielski Zwazek Społeczny i Polityczny Św. Joanny (St. Joan's Social and Political Alliance) oraz belgijska Liga Katolicka Równouprawnienia Kobiet (Ligue Catholique du Suffrage Feminin). Obie te organizacje, chociaż szczerze katolickie w swym programie i pracy, różnią się jednakże bardzo z panią Steenberghe w poglądzie na stanowisko, jakie względem nieszczęśliwych i upośledzonych przez prawo matek i dzieci nieślubnych zajmować powinny prawdziwe wyznawczynie wiary Chrystusowej. Znana angielska działaczka katolicka, p. Leonora de Alberti, przewodnicząca Związku Św. Joanny, w organie tegoż Związku, The Catholic Citizen, podkreśla, że „w chwili, gdy przed międzynarodowym forum kobiecym dyskutowaną jest sprawa opieki nad matką ciężarną i jej opuszczonem dzieckiem, rola kobiety katolickiej nie może polegać jedynie na stanowisku negatywnem. Czy mamy prawo moralne powiedzieć w takiej chwili: Kobiety, o których mowa, są grzesznicami, dzieci ich zrodzone są w grzechu, nie mają przeto prawa do pomocy naszej i opieki. Możemy im dać jedynie jałmużnę, bo grzesznice nie powinny być traktowane narówni z kobietami cnotliwemi. — „Jeśli powiemy tak — woła p. Alberti — kogóż wtedy naśladować będziemy? Czy Pana, w imieniu Którego mówimy, czy też faryzeuszów, potępionych przez Niego?!“

Podobne stanowisko zajmuje p. Louise Van den Plas, przewodnicząca belgijskiej Ligi Katolickiej Równouprawnienia Kobiet. Artykuł jej w „Feminisme Chrétien de Belgique“ oświetla całą sprawę z punktu widzenia zarówno zasadniczego, jak praktycznego. Przytaczając w dosłownem brzmieniu rezolucję Kongresu paryskiego, zastrzega się p. Van den Plas, jedynie przeciwko brzmieniu tego punktu, w którym jest mowa o zrównaniu dzieci nieślubnych ze ślubnemi pod względem praw do majątku ojca i spadku po nim. „Nie jest sprawiedliwe — zauważyła autorka artykułu — narzucać małżonce ślubnej konieczność dzielenia w równej mierze funduszu małżonka pomiędzy dzieci zrodzone w małżeństwie i poza niem,

fundusz ten bowiem powstaje i pomnaża się przez wspólną pracę obojga małżonków". Pozatem jednak uważa p. Van den Plas za zupełnie słuszne i konieczne uznanie przez żonę moralnych i materialnych obowiązków męża względem jego dzieci nieslubnych, czy to zrodzonych przed zawarciem małżeństwa, czy też po jego zawarciu. „Obowiązkiem każdej żony jest zrozumieć i ułatwić spełnienie przez męża zobowiązań jego względem dzieci nieslubnych w takiej samej mierze, jak i innych zobowiązań. Dzieciom tym należy się prawo do wychowania w takich warunkach fizycznych, intelektualnych i moralnych, które pozwoliłyby im z czasem stać się pożytecznymi członkami społeczeństwa“.

Opiekę państwa nad nieslubną matką i dzieckiem uważa p. v. d. Plas za najlepszy sposób ochrony tych nieszczęśliwych istot, które nazywamy upadłymi, od dalszych upadków, podczas gdy odwracanie się od nich ze wzgardą i odmawianie im wszelkiej pomocy i wszelkich praw, nawet ludzkich, zmusza bardzo często matkę nieslubną do opuszczenia dziecka, a nieraz nawet popycha ją na samo dno nędzy i hańby. Opieka nad temi zbłąkanymi istotami leży przedewszystkiem w interesie moralnym samego społeczeństwa—mówi p. Van den Plas.

Skoro się tyle mówi o polemice, jaką wywołały w katolickim świecie kobiecym „rezolucje kongresu paryskiego, warto przytoczyć i sam tekst tychże rezolucyj. Podaję go tu w przekładzie dosłownym:

§ 1. Wychodząc z założenia, że każde dziecko ma prawo do normalnych warunków rozwoju fizycznego, intelektualnego i moralnego, społeczeństwo ma obowiązek zapewnienia tych warunków również i dzieciom nieslubnym.

§ 2. Ponieważ opieka nad dzieckiem łączy się nierozdzielnie z opieką nad matką, cierpienia i braki matki odbijają się i na dziecku, wszystkie systemy pomocy społecznej powinny zmierzać ku temu, aby nie rozdzielać dziecka od matki, przynajmniej podczas okresu pierwszych lat jego życia.

§ 3. Ochrona macierzyństwa powinna stosować się w równej mierze do wszystkich matek, i to nie jako jałmużna, lecz jako prawo należne każdej matce bez wyjątku.

System ubezpieczeń społecznych, uznany za skuteczny w wielu państwach, zmierzać powinien do zapewnienia matce niezależności materialnej, pozwalając jej pokrywać koszta utrzymania własnego i dziecka. Zasadniczo sam fakt macierzyństwa kobiety nie powinien nigdy pozbawiać jej pracy, ani zajmowanej przez nią posady.

§ 4. Ponieważ w interesie każdego państwa leży dążenie do zmniejszenia ilości istot upośledzonych pod względem moralnym i fizycznym, należy uczynić wszystko, aby pozwolić matkom i dzieciom nieslubnym stać się pożytecznymi członkami społeczeństwa, zapewniając im możliwość prowadzenia moralnej egzystencji.

§ 5. Słusznym i koniecznym jest zmuszenie mężczyzny do podzielenia moralnej i materialnej odpowiedzialności w stosunku do jego dziecka nieprawego. Poszukiwanie ojcostwa powinno być uprawnione we wszystkich krajach, postępowanie prawne w tych sprawach ułatwione, a także przedsięwzięte środki celem zabezpieczenia się przed uchylaniem się mężczyzn od spełnienia następujących prawnych obowiązków:

a) wypłacania matce subsydjum przed, w czasie i po położeniu, przez czas dostatecznie długi, aby mogła, jeśli zechce, karmić sama swoje dziecko.

b) wypłacania subsydjum dziecku w stosunku proporcjonalnym do sytuacji majątkowej ojca i warunków materialnych, jakie może zapewnić swym dzieciom ślubnym.

§ 6. Powinny być ponadto wprowadzone reformy, ułatwiające dziecku uzyskanie praw do nazwiska ojca i dziedziczenia po nim; także uproszczone wszelkie formalności w kierunku adoptowania i uprawniania dzieci nieslubnych, z zastrzeżeniem jednakże nie naruszalności wszelkich praw matki do dziecka.

§ 7. Każda matka niezamężna w razie potrzeby powinna mieć prawo do opieki państwa, nawet przed urodzeniem się dziecka.

W każdym kraju powinien być zorganizowany pewien system pomocy społecznej, na czele którego stać mają siły zawodowe i opłacane przez instytucję (opiekunowie urzędowi).

Opieka ta powinna być prowadzona wspólnie z istniejącymi już instytucjami rządowymi, lub prywatnymi tego typu, i rozciągać się winna i na stosunki międzynarodowe, celem ułatwienia pociągania do odpowiedzialności ojców, którzy opuszczają swój kraj bez uprzedniego wypełnienia swych obowiązków względem nieslubnego dziecka.

§ 8. Stowarzyszenia, wchodzące w skład międzynarodowego Związku Równouprawnienia Kobiet winny zająć się we wszystkich krajach sprawą opieki nad nieslubną matką i dzieckiem, a to celem zapoznania z tą sprawą i obudzenia wśród kobiet całego świata, szczególnie zaś wśród tych, które są szczęśliwymi i uprzywilejowanymi przez prawo matkami, uczuć solidarności i współczucia względem tych matek opuszczonych i nie-



szczęśliwych. Stanowisko Międzynarodowej Ligi Kobiet Katolickich, wypowiedziane przez jej przewodniczącą p. Steenberghe, streszcza się w następujących słowach:

„Ponieważ macierzyństwo poza małżeństwem jest przekroczeniem praw Boskich, kobiety katolickie nie

zgodzą się nigdy na rozciąganie ustaw o ochronie macierzyństwa w jednakowym stopniu na matki niezamężne i prawowite małżonki.

Który z tych dwóch poglądów zwycięży w świecie kobiecym?

Przyszłość pokaże.

Z.



W OBRONIE POMNIKÓW PRZESZŁOŚCI

W r. 1906 grono miłośników pamiątek ojczytych zawiązało Towarzystwo Opieki nad zabytkami przeszłości. Nabywszy staroświecką siedzibę niegdyś patrycjuszów Warszawy, Baryczków, położoną na Rynku staromiejskim, zaniedbaną i zniszczoną, z całym pietyzmem odrestaurowało ją w stylu owych czasów i uczyniło z niej ognisko swoich prac.

Prace te były różnorodne, i przyznać trzeba, że plon ich jest dość bogaty, zwłaszcza, gdy zważymy, że do czasu założenia Towarzystwa nie istniała żadna w ogóle opieka, ani państwowa, ani prywatna, nad rozsypanych w gruzy dokumentami naszych dziejów. Przeciwnie, rządy zaborcze współdziałały bardzo dzielnie niszczącej sile czasu i czynników przyrody. One zresztą były same głównymi autorami destrukcji; one uczyniły z Wawelu zbeszczeszczoną trumnicę, pełną prochów dawnej chwały, obdarłszy ją przedtem ze skarbów i dzieł sztuki. One to na kibitkach, gubiąc po drodze najcenniejsze białe kruki biblioteczne, wywoziły nasze księgozbiory i kolekcje, one zamieniały pałace na stajnie, a uczelnie w koszary. Od rządu zaborczego nie mogło więc Towarzystwo oczekiwać żadnej pomocy i nie uzyskało jej nigdy.

Walcząc wciąż z przeszkodami, z brakiem funduszy, z obojętnością szerokiego ogółu, zdołało jednak Towarzystwo zgromadzić bardzo cenne zbiory.

Stanowią je: 1) biblioteka specjalna dla dziejów Warszawy i studjów w zakresie historii sztuki w Polsce, złożona z 2 tysięcy tomów, 2) zbiór rycin (około 12 tysięcy numerów), obejmujący zarówno portrety osób, jak również widoki miejscowości, kościołów, ruin, tudzież innych zabytków sztuki, 3) archiwum fotograficzne, złożone z kilkunastu tysięcy odbitek oraz ponad 10 tysięcy klisz, odnoszących się do dziejów budownictwa w Polsce, historii Warszawy od czasów najdawniejszych i t. d., 4) sprawozdania delegacyjne, zawierające poparte zdjęciami architektonicznymi, opracowania różnych miejscowości zabytkowych.

Muzeum Towarzystwa, gromadzone w owych czasach, gdy Warszawa jeszcze zbiorów muzealnych posiadać nie mogła, a zawierające z górą tysiąc okazów malarstwa, broni, haftów i tkanin, szkła i ceramiki przekazane zostało specjalną uchwałą Ogólnego Zgromadzenia członków w depozycie wieczystym Muzeum Narodowemu w Warszawie.

Gromadząc to wszystko, wydzierając obraz dawnej naszej Ojczyzny z otchłani niepamięci, oddało Towa-

rystwo ważną usługę nauce. Działalność jego jednak ma i inne strony.

Dążąc do propagandy arcyzmu w Polsce, do poglądowego, niejako, zaznajamiania publiczności z historją kultury naszej, urządziło Towarzystwo szereg interesujących i pouczających pokazów.

Pierwsza z tych wystaw, poświęcona „starej Warszawie“, dała wszystko, co tyczyło się dziejów stolicy.

Wystawy następne odsłaniały jakby poszczególne karty dziejów kultury w Polsce, a więc: minjatury, hafty i tkaniny, ceramika i szkło; sztychy polskie od XV wieku do 1860 roku, ubiory w Polsce; plany i zdjęcia architektoniczne siedzib królewskich w Warszawie; portret kobiety XVIII wieku; budownictwo drzewne; budownictwo monumentalne; sto pięćdziesiąt lat malarstwa polskiego—od Stanisława Augusta do chwili dzisiejszej; malarstwo polskie XVII i XVIII w., wystawa druków od zaczątków tłoczenia w Polsce aż do chwili dzisiejszej, Warszawa za Stanisława Augusta w obrazach Canaletta; karykatury polskie wieku XIX; wystawa przygotowawcza okazów sztuki dekoracyjnej polskiej przed wystawą Paryską i t. d. i t. d., aż do ostatniej a noszącej tytuł „Wschód w Polsce“.

Plon, niewątpliwie duży i poważny.

Z chwilą wskrzeszenia Państwa Polskiego, przed Towarzystwem Op. nad zabytkami przeszłości otworzyły się dalsze i szersze horyzonty.

Uchwalona przez Sejm ustawa konserwatorska, jakkolwiek niezawsze ściśle przestrzegana, jak to się ze wszystkimi naszymi ustawami dzieje, daje, jednak, pewne zabezpieczenie zabytkom przed barbarzyństwem, ciemnotą i spekulacją. Powołani do jej stosowania konserwatorowie rządowi, wyznaczani przez Departament Sztuki i Kultury, zostają w bliskich i ścisłych stosunkach z Towarzystwem Op. nad zabytkami. Wzajemne oddziaływanie zatem czynników rządowych i instytucji społecznej jest tu dla dobra sprawy zapewnione. Wydział konserwatorski Towarzystwa, złożony z kilkudziesięciu architektów, konserwatorów, historyków sztuki, malarzy i rzeźbiarzy, powoływany jest do opinjowania o wszystkich zagadnieniach teoretycznych i praktycznych, wchodzących w zakres wiedzy o sztuce i kulturze przeszłości naszej.

A zagadnienia praktyczne nasuwają się wciąż. Mimo ciężkich kryzysów gospodarczych, Polska zrzuca z siebie stopniowo wstrętą patynę niewoli.

Oczyszczenie pałacu Staszycza z defigurujących go rozmyślnie ozdób stylowych rosyjskich i przywrócenie mu właściwych architektonicznych linii, przebudowa gmachu b. Komisji Skarbowej, dziś Ministerstwa Skarbu, pałacu Brühlowskiego, dziś Ministerstwa Spraw Zagranicznych, odnowienie Zamku królewskiego w Wilanowie, pałacu królewskiego w Wilanowie, katedry św. Jana i t. d. i t. d.—oto cały szereg praktycznych zadań, przy których rozwiązywaniu posiada Towarzystwo głos niemal decydujący.

Wszystko to jednak robi się bardzo nielicznymi siłami fachowców, ludzi, entuzjastycznie oddanych umiłowanym studjom. Szeroki ogół daleki jest od interesowania się temi sprawami, i oto chłód ten sprawia, że ani Towarzystwo, ani nawet czynniki rządowe nie są w stanie ogarnąć całości zadania.

Rząd posiadał dawniej do swego rozporządzenia 14 konserwatorów. Obecnie, na skutek koniecznych oszczędności państwowych, liczbę ich zredukowano do 7-miu, a biuro każdego z nich składa się z maszyny do pisania i jednej maszynistki. Wierzymy, że przy największej nawet gorliwości, tak uzbrojony konserwator nie może zadość uczynić ciężącym na nim obowiązkom. To też, mimo istnienia ustawy, urzędników i gorąco zainteresowanej temi sprawami instytucji społecznej, stan rzeczy w Polsce pozostawia i pod tym względem wiele do życzenia. Z każdym rokiem rozsypują się coraz bardziej w proch starożytne zwaliska zamków i świątyń, butwieją na strychach resztki ciekawych rękopisów, spekulanci zagraniczni wywożą tysiące dzieł, mających związek z historią naszej sztuki i kultury. Głośno np. mówi się obecnie w Warszawie, że jeden z magnatów naszych wyprzedaje najcenniejsze pod tym względem objekty, a nikt mu nie stawia przeszkód i t. p.

Patrzac np. na postępującą wciąż ruinę tak doskonale, względnie zachowanych zwalisk Zamku Lubarta w Łucku, albo na ruiny Krzemienieckie, albo na jeszcze niedawno tak wspaniale prezentujące się ruiny zamku w Janowcu, mimowoli narzuca się myśl, że jednak Towarzystwu samemu brak szerszego oddechu, że jest ono zanadto lokalnem, zanadto warszawskiem, zanadto uwięzionem w małej kamieniczce staromiejskiej.

Towarzystwo liczy podobno 600 członków wspierających, ale tylko 70 członków czynnych—fachowców, uczonych, specjalistów.

Nabrałoby prawdopodobnie rozmachu, gdyby zechciało zdemokratyzować swoje szeregi. Dziś robi wrażenie uczonych wodzów, strategów — bez armji,

W dzisiejszych czasach w pracach tego rodzaju współdziałać musi i inteligent prowincjonalny, nauczyciel szkoły powszechnej, proboszcz, wójt gminy i t. d.

W zamkniętych kółkach dziś pracować na wielką skalę nie można. Trzeba szerzyć zamiłowanie do tych strzępów dawnego życia, trzeba wyjaśniać ich ważność dla nauki, ich doniosłe znaczenie dla chwili obecnej i dla przyszłości.

I znów przychodzi nam potrącić tutaj o podnoszoną już kilkakrotnie sprawę nawiązania nici tradycyjnych między Polską dzisiejszą, a Polską minioną, nie dlatego, żeby do tej przeszłości nawracać, ale żeby utrzymać ciągłość rozwoju.

Tych rzeczy właśnie nauczać dziś trzeba.

I życzymy instytucji, tak pożytecznie pracującej w dawnych ciężkich czasach, aby drogą tą szła dalej, aby do spraw swoich zaprzęgała modny dziś regionalizm i, nabrawszy nowych rumieńców życia, pełniła nadal piękne swoje dzieło.

C. R.

ZOFJA GRZYMAŁOWSKA

Z PEDAGOGJI DALEKIEGO WSCHODU



utor książki — „Ewolucja Japonji“, dr. Gulik, zwraca uwagę, że uczucie miłości do dzieci w japońskiej rodzinie mniejszą znacznie gra rolę, niż w Europie, i że w ogóle nie jest ono ani tak czyste, ani tak głębokie, jak u nas, gdyż przeważają w niem utylitarne względy.

Profesor Heizaburo Takaschima, człowiek wysokiej europejskiej kultury, w broszurze, która jest częściowo odpowiedzią na książkę anglika, uznając w dużej mierze trafność jego obserwacji, jednak nazywa sąd jego powierzchownym; rzuca przytem garść ciekawych szczegółów, dotyczących się ogólnie wychowania dzieci w Japonji i wzajemnego stosunku dzieci i rodziców.

Powierzchowność sądu przypisuje głównie temu, że japończycy od wczesnych bardzo lat są przyzwyczajani do opanowywania swych uczuć i, przedewszystkiem, ich zewnętrznych objawów, aż do umiejętności ukrywania ich zupełnie, szczególnie wobec obcych ludzi. Stąd też i uczucie miłości do dzieci musi być

bardzo powściągliwie przejawiane; z drugiej zaś strony, cały szereg wierzeń dawnych i obyczajów, do dzisiaj, pomimo modernizacji kraju, święcie przestrzeganych, wskazują wyraźnie, jak ważnym czynnikiem są dzieci w życiu rodziny japońskiej.

Już przy zawieraniu małżeństwa wzgląd na przyszłe potomstwo, na czystość krwi, gra ogromną rolę, i to zarówno wśród niższych, jak i wyższych warstw. Znanem jest uczucie czci, jaką mają w Japonji dla pamięci przodków—otóż baczenie, by linja przyszłych pokoleń szła niełamany ciągami w stosunku do dawnych, pod względem moralnym i fizycznym, ma głos decydujący w doborze małżonków.

Naturalnie, że im klasa społeczna jest wyższa, tem dobór jest staranniejszy, a zasady eugeniki, tak obecnie usilnie u nas propagowane, w Japonji są od dawna stosowane. Kobieta, która ma zostać matką, otaczać winny największe staranie i opieka, bo, jak mówi mędrzec Liki, jeden z najstarszych klasyków Dalekiego Wschodu: „w tym okresie oczy jej nie powinny patrzeć na brzydkie barwy, czy obrazy; uszy

nie powinny słyseć brzydkich wyrazów, a usta nigdy nie [wymawiać] brzydkich słów, gdyż wszystkie złe wrażenia odbijają się ujemnie na przyszłym dziecku; mężczyzna, który nie szanuje kobiety, mającej zostać matką, nie wart jest nigdy być ojcem dobrych i zdrowych dzieci“.

Urodzenie dziecka jest uroczystością rodzinną, połączoną z całym szeregiem obyczajów, znamionujących wagę faktu, szczególnie, jak zwykle, urodzenie się syna, zwłaszcza pierwszego.

Ciekawy jest sposób wyboru i nadawania imion, niema tam bowiem, jak u nas, imion patronów, lub też w ogóle imion, o ułtarzem dawno brzmieniu. Są to nazwy przedmiotów żyjących, lub martwych, a także pojęć abstrakcyjnych.

Imiona takie nadaje ojciec, dziadek, lub najstarsze, czy najwięcej szanowane w rodzinie osoby, a wybór ich jest wyrazem tego, czego się pragnie dla nowego przybysza. A więc nazwy zwierząt: tygrys, niedźwiedź—(jednakowo dla chłopców jak i dziewcząt), jako symbol zdrowia i siły, nazwy metalów, lub przedmiotów, z nich wyrabianych—żelazo, stal, złoto i t. p., symbole mocy, hartu, szlachetności, albo wprost pojęcia: cnota, wierność, cześć synowska, odwaga i t. p. Dla dziewcząt ulubionymi są nazwy roślin, drzew i kwiatów, jak Take—bambus, Matsu—sosna, nie mówiąc już o częstych liljach i fiołkach, lub poetycznych—płatki śniegu, kropla rosy. Tym sposobem z samego doboru imion dzieciennych można sądzić o aspiracjach, przeważających w rodzinie.

W rodach samurajów istnieje dawny obyczaj, do dziś dnia przestrzegany, że chłopak po ukończeniu 15 lat dostaje drugie imię, t. zw. rzeczywiste imię, (nanorri, albo imiona). Jest ono skombinowane z kilku wyrazów, bo winno oznaczać jeden z najwybitniejszych rysów dodatnich, ujawnionych już w charakterze chłopca, a także imię jednego z bohaterów narodowych, lub też jedną z jego cech, jako wzór do naśladowania. A więc, jako drogowskaz dalszego życia, jako stygmat przyszłości, jest ono nadawane przez uproszone w tym celu osoby, cieszące się największym poważaniem ogółu. Największą pieczołowitością i staraniem otaczane są dzieci do lat 7-miu, gdyż, wedle wyrażenia japońskiego, w tym okresie, „główki ich są siedliskiem bogów“. Autor broszury opowiada, że matka słynnego admirała Togo, nie przeszła nigdy koło główki najlichszego dziecka z ludu bez pieszczoty i ciepłego wejżenia, albo uwagi dla świętego przybytku bogów.

Co zaś do utylitarnych względów, przeważających w wychowaniu dziecka, o których mówi dr. Gulik — przyznaje ich istnienie i prof. Heizaburo, lecz podkreśla, że nazwać nimi można — wpajanie w duszę dziecka od bardzo wczesnych lat uczucia wdzięczności ku rodzicom za ich pieczę i starania i obowiązku płacenia im tem samem w późniejszym wieku. To rzeczywiście jest czynnikiem ważnym w naszym wychowaniu i tem odróżniamy się może nieco od Europejczyków—mówi prof. Heizaburo—ale ten pozorny utylitaryzm ma właśnie źródło w tej czci, jaką mamy i przechowujemy dla pamięci naszych przodków.

Dziecko jest pochodnią, idącą w przyszłość i nam, rodzicom, tę przyszłość rozświetlającą, lecz ogień jej święty u naszego ogniska był zapalony, więc cześć i szacunek mu się należy.

Gdy dziecko ukończy pierwsze 100 dni swego życia, niesiemy go przed ołtarze, pamięci tej poświęcane, i w jego imieniu czynimy obietnicę, że się nie sprzeniewierzy zasadom, święcie przez nas przestrze-

ganym. a więc, przedewszystkiem, zasadom honoru, hartu ducha, wierności swemu słowu (wedle starego przysłowia—samuraj niema dwóch języków i danego słowa nigdy nie łamie), i bezwzględnej czci synowskiej względem ojczyzny i rodziców. Ponawia tę obietnicę dziecko samo po dojściu do pełnej świadomości; chłopak w okresie „Mesji“, t. j. w dniu zaciągnięcia się do służby czynnej dla kraju, morskiej, czy lądowej, a dziewczyna—przed okresem wstąpienia w związku małżeńskiego. Ta sama idea czci względem hasel rodzimych i starszych przedstawicieli rodziny odbija się w zwyczajach świąt dla dzieci. Są nimi niektóre dni miesiący — inne dla dziewczynek, inne dla chłopców: święto lalek 3-go marca i święto broni i sztandarów 5-go maja. Starsze osoby tem się zajmują, przystrajając lalki i przygotowując odpowiednie, a pouczające gawędy, lub też wesołe i barwne opowiadania na tle przeszłości i bohaterów narodowych.

Bo dziecko japońskie musi znać przeszłość swego narodu, swojej rodziny, musi znać i czcić tych, co byli jej twórcami.

Lecz czyż to mu przeszkadza w budowaniu przyszłości? Czy nie zdumiewają cudzoziemców postępy naszej cywilizacji, uczynione w ostatnich dziesiątkach lat? Prawda, że wiele dawnych zwyczajów uległo zmianie, że otworzyliśmy szeroko drzwi prądom zachodniej cywilizacji, tak samo, jak i wierzeniom religijnym, ale dusza narodu pozostała wierna tym hasłom i zasadom, z których jest dumną i które za ogólnoludzkie uważa.

Sięgnijcie do skarbca naszych bajek dzieciennych, a znajdziecie właśnie tam takie niezniszczalne i wielkie wartości. Sieć naszych szkół początkowych, gdzie dziecko zaczyna obowiązkową naukę od 6 lat życia, jest tak liczna, że 90% dzieci całej ludności naszego kraju znajduje tam naukę i opiekę. Wszelkie zdobycze nowe w zakresie pedagogii stosujemy bardzo skwapliwie—przykładem tego, między innymi, jest rozpowszechnienie ruchu harcerskiego, którego hasła, pełne rycerskości dawnej, szczególnie wdzięczny odzew wśród naszej młodzieży znajdują.

To samo możemy powiedzieć o naszych poczynaniach w zakresie pism i książek dla dzieci naszych, ze zwracaniem szczególniejszej uwagi na artystyczną ich stronę. Słowa Ellen Key, że wiek 20-sty jest wiekiem dziecka, mają u nas rzeczywiste zastosowanie. Pragniemy, by piękny kraj nasz był też rajem dla naszych dzieci, gdyż wedle głębokiego naszego przekonania tylko kraj, w którym opieka nad dziećmi jest główną troską społeczną — ma przed sobą świetlaną przyszłość; inne są skazane na zagładę“.

Do tych pięknych, a zawierających wielką prawdę słów prof. Heizaburo możemy dodać, że tylko kraj, w którym zasady najpiękniejsze: honoru, odwagi, hartu, szlachetnej czci i miłości dla ojczyzny są do wysokości dogmatów podniesione, może mieć tak piękne postacie bohaterskich synów, jakimi byli synowie kraju Wschodzącego Słońca w czasie jego śmiertelnych zapasów z przeważającymi stokroć siłami wrogów. Zresztą czyż tylko w czasie wojny, czyż nie patrzyliśmy ze zdumieniem i szacunkiem na hart, dzielność i wytrwałość tego narodu, gdy trzęsienie ziemi i wybuchy wulkaniczne kładły w gruzy i spowiły w dymy i pożary całe miasta i wioski?

Może więc i w naszych wysiłkach na polu pedagogii nie będzie zbyt cennym zwrócenie uwagi na światło przykładu, które z tego dalekiego Wschodu zaczerpnąć można.

ZRÓŻNICZKOWANIE SIĘ TYPU KOBIECEGO PO WOJNIE

MARTY I MARJE, DZIŚ — WCZORAJ

Z cyklu: „O kobiecie dzisiejszej—Głosy kobiet“.

W 1873 r. — więc przeszło pół wieku temu — wyszła powieść Orzeszkowej „Marta“. Nikt jej dziś nie czyta, i nie wie o niej pokolenie współczesnych. Leży gdzieś — pozołkła, wybrudzona, zmięta — na półkach bibliotek między butwiejącymi szpargałami, do których nikt nie zagląda. Jednak — była, jak dzwon, który uderzył na trwogę, i wstrząsnął tłumem kobiet. Nietylko u nas. W Niemczech p. t. „Ein Frauenschicksal“ (Los kobiety) została zaliczona do książek, obowiązkowo rozpowszechnianych przez ruchome biblioteki propagandy kobiecej stowarzyszenia „Frauenbildung“. Hasła jej dotarły do najdalszych zakątków, gdzie tylko choćby w załamku poczęło dzwigać się dzieło wyzwolenia kobiety. Gdy w 1906 r. obchodzono w Warszawie 25 letni jubileusz twórczości Orzeszkowej, — z serdecznymi życzeniami pospieszyły liczne stowarzyszenia kobiece zagraniczne, czcząc w pisarce polskiej przedewszystkiem autorkę „Marty“, pionierkę idei wyzwolenczej, drogą zawodowego przygotowania.

W 1910 r. Sekcja kobieca przy Tow. Kultury polskiej ogłosiła ankietę „O wpływie Orzeszkowej na kobiety współczesne“. Okazała się wtedy, w jak wielu wypadkach powieść Orzeszkowej pokierowała losem wybitnych jednostek świata kobiecego z drugiej połowy 19 wieku.

„Byłam niezaradna, nie myśląca, niezdolna do systematycznej pracy, gdy, jak piorun, spadła na mnie powieść „Marta“. Czytałam, gorączkowałam, a potem zamarłam. Czulałam, że Orzeszkowa wprost do mnie mówi. W każdym położeniu Marty siebie wyczuwałam i znalazłam się, jak ona, bez wyjścia“.

Tak odpowiadały korespondentki z różnych sfer, różnych obozów, różnych dzielnic Polski. Zawrzało. Zerwały się do pracy nawet zasiedziałe u rodzin zamężnych rezydentki, którym przez myśl nie przeszło, że można marzyć o bycie samodzielnym. Zarzucano powieści Orzeszkowej, że zbudziła głód do zarobkowania tam nawet, gdzie go nie potrzebowano! Wyfrunęły z zaciszy wiejskich panny posażne w poszukiwaniu zawodowej nauki, żeby móc iść o własnych siłach, bez oglądania się na pomoc rodziny, bez pogoni za mężem, dobrze uposażonym, materialnie pewnym.

Co miały przed sobą te młode Marty?

Jeszcze nie biura, nie handel, nie zawody wyzwolone. Nauczycielstwo — szlak jedyny.

Gdy w latach siedemdziesiątych jakaś starsza kobieta, nie mogąca już biegać po lekcjach, założyła sklep z norymberszczyzną na Nowym Świecie, był to wypadek tak niezwykły, że nie można było dosyć naopowiadać się o nim. Do przedsiębiorstwa przywarła nazwa „sklepu nauczycielki“. Przetrwał długie lata, popierany przez inteligentki, które uważały sobie za obowiązek nabywać tam igły, nici, guziki.

Dziś — Marty stanęły przy wszystkich warsztatach. Niema już pokątnego wykradania się z pod skrzydeł matczynych. Nawet bardzo zamożne obywatelskie rodziny wysyłają panny w świat po naukę. Same. Rzadko kiedy odwozi je matka. Przez korespondencję, albo przez znajomych załatwia się sprawy pensjonatów, uczelni. Każda córka musi mieć maturę. A potem — jak chce. Jedna kształci się na inżyniera-leśnika i marzy o reformach, które ma przeprowadzić w olbrzymim gospodarstwie leśnym ojca. Drugą z malarskim talentem rzuca się w paszczę jakiejś koedukacyjnej, wielkomięskiej akademii — krajowej, czy zagranicznej, z tą jedyną przestrożą, żeby nie przekroczyła sumy miesięcznej zapomogi, obliczonej dla pewności w dolarach. Dziewczynkę, przejawiającą wyjątkowe zdolności do języków, śle się do jakiegoś zagranicznego Sacré Coeur. Chce zostać lekarzem, prawnikiem, — inżynierem, architektem, — nikt jej tego nie broni. Ustały zakazy rodziców. Rozgrywa się tylko sprawa — są pieniądze na naukę, czy nie? — Bo jednak — wraze skromnych środków, pierwszeństwo mają zawsze synowie.

Zastępy młodych Mart kształcą się o własnych siłach. Ale tu — znaczny procent ustaje. Tak samo, jak zbiedzony, zagłodzony student, który omdlał fizycznie.

Część kobiet uważa zawód i pracę, już zdobytą za etap chwilowy, za jakieś gorzkie preludjum życia, po którym przyjść musi słodczy wyzwolenia: — mąż, zarabiający na dwoje i — na rodzinę. Snują rojenia „anioły“ — kancelistki, stenotypistki, biuralistki handlowe. Puszek od pudru i sakramentalne lustro miga w wymyślonych paluszkach.

Niestety, powojenne małżeństwo przestało wyzwalać od pracy. Dzisiejsza Marta zamężna, jeżeli chce żyć uczciwie, musi położyć krzyżyk na marzeniach romantycznych. Choćby z kancelistki wyrosła nagle na panią dyrektorową departamentu. Zamiast dziennika biurowego, czy Remingtona, — garnki, ścierki, miotła.

Westchnie ktoś — gdzie Marje inteligentek salonów, królowe five o'clocków, rautów? — Czasami dobre muzyczki, niekiedy trochę poetki, malarki, a zawsze biegle w literaturze i mistrzyni smaku. Zabiła je Marta, zaharowana gospodyni, urzędnik, przemysłowiec, handlowiec, policjant, lekarz, adwokat, poseł, radny, senator, inżynier, budowniczy, redaktor, dziennikarz, reporter. Marta — zastępy zbiedzonych nauczycielek, instruktorek, właścicielek, lub kierowniczek przedsiębiorstw. Wszystkie prawie utrzymują rodziny same, lub z mężem razem. Większość, prócz pracy poza domem, prowadzić musi gospodarstwo domowe i każdą chwilę wolną poświęcać dzieciom.

Gdzie Marje, których głównym zadaniem i ambicją było mistrzostwo w urządzaniu zebrań towarzyskich?

Orzeszkowa, wprowadzona do salonów dzisiejszych (odstąpionych łaskawie na dzień przyjęć przez uprzejmych sublokatorów,) przetarłaby oczy pytające. Tyle naopowiadano jej o wielkich zmianach! — Prawda, krótkie spódniczki, naciągnięte, jak na cieniutkich drucikach, pończoszki, wydłużone pantofelki, polerowane paznogcie, główki à la garçonne. Kobiety, upodobnione do mężczyzn, mężczyźni do kobiet — wygoleni, u fryzowani, z resztkami pudru na policzkach. Zresztą, wszystko, jak dawniej. Gwar, śmiech, rozmowa o literaturze, sztuce, polityce. Może żywsza, swobodniejsza i dosadniejsza. Pani domu częściej, rzuca rakiety dowcipów i tematy spornych zagadnień, podchwytywanych przez całe towarzystwo. Dla każdego ma uśmiech i jakieś bardzo miłe słowo. Marja?

Trochę tak. Tylko raniutko wilją dnia przyjęć pierwsza na targu. W swoich cieniutkich pończoszkach i przystrzyżonej czuprynce obchodzi kramy, robiąc zakupy. Sama dźwiga torbę z towarem. Sama — w braku służącej — upiekła ciasto, wyliczywszy, co najtańsze i najefektowniejsze. A w przeddzień gości wieczorem, gdy pokładły się dzieci do snu i mąż zachrapał nad kurjerem, wzięła książkę do ręki, żeby nie być, jak ten tuman, gdy wypadnie rozmowa o literaturze.

Śpi ta Marja Marta może sześć, może siedem godzin na dobę. Zrywa się na dzwonek budzika, i nie spocznie już, aż do końca dnia.

Przecierałaby oczy Orzeszkowa, dziwiąc się tej powojennej kobiecie. Uczyła swoje Marty życiowej samowystarczalności, ale nie przypuszczała, jak daleko pójdzie nauka. Że po godzinach biurowych, czy godzinach lekcji, czy wyteżonej pracy autorskiej, redakcyjnej, referendarskiej, lekarskiej, prawniczej pupilka

będzie musiała zająć się gospodarstwem i dziećmi! Albo też, zarabując przy obsłudze własnego domu, (co teraz, wreszcie, oblicza się też na gotówkę) nie wyrzuci z rąk umiłowanej książki.

Poddały hasła Orzeszkowej pół wieku temu rewizji senną opieszałość „panien na wydaniu“ i — zabawę w robótki, poezyjki, rysunekczki, muzykę „do słuchu“. Życie — ślepa konieczność — zajaśniało w dusze, już zbudzone. Robótki, muzyka, poezja spadły, jak modre kwiaty, na szary znój. Nie dla idei, nie za książkowym drogowskazem idzie dziś Marta Marja do pracy, szczęśliwa, jeżeli ją ma. Kształtują się w niej złoza duchowe i rodzi zwycięskie pokolenie dni nowych.

Co tam „anioły latawice“, gnane po bezdrożach wichrem samolubstwa, głodem wrażeń. Niewiadome ich cele i przeznaczenia. Zmiata je życie, ale były i będą, więc, widać, potrzebne — siedem pustych dusz kobiecych, o których napisano książkę, ¹⁾ może znak ostrzegawczy?

Tupie nóżką i pędzi z dancingu do auli uniwersyteckiej, z auli na plażę. Tupie nóżką i włada światem — motyl siedmiobarwny „w jednej króciutkiej krepdeszynie“.

Ale przysłowie włoskie, które mówi o tych siedmiu duszach, wynalazło też i ósmą — „duszyczkę“. Może coś podświadomego, może symbol wyczekiwania, może języczek u wagi poczynania i dokonania tej, która — nie gardząc dancinżem, plażą, z czcią wchodząc na progi auli, dźwiga ciężar samowystarczalności swojej z lepszym sercem, aniżeli Marta z przed półwiecza swoją niezaradność, niefachowość i bluszczową zależność.

¹⁾ St. Wasylewski „Impertynencje współczesne“.

HELENA CEYSINGERÓWNA

3

JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

— Nie to! krótkiel!

...zapowiadano coś...

— Panienska z gołą głową!

— Głupias!

Z gołą głową pobiegła na wieś. Za nią — pokojówka, lokaj, kucharz...

— Mój Boże! Mój Boże! — tętniło w głowie biegnącej dziewczyny.

Od wsi niósł się gwar, jęk, wrzaski, rzenie koni.

— Mój Boże! Mój Boże!

Dopadła rozstawionych w koło kozaków, pchnęła jednego z taką furją, że się zatoczył, i stanęła na miejscu egzekucji.

Na ziemi leżał nagi człowiek, wijący się w męce. Kozak nahajem ciał niemiłosiernie w gołą, skrwawioną skórę. Lotka nagłym ruchem wyrwała mu tę nahajkę, i zostawiając na miejscu zgłupiałego żołdaka, rzuciła się ku „naczalstwu“.

Stali tam w płaszczach mundurowych i futrach wojskowych i cywilni kierownicy tej razji.

Lotka instynktownym ruchem zwróciła się ku

temu, który jej się zdał tu najstarszym rangą i rozkazodawcą.

— Panie naczelniku — wrzeszczała — ja nie pozwolę! To moi ludzie! Ja za nich odpowiadam przed Bogiem! To moi ludzie! Poddani moich ojców! ja ich katować nie dam!...

Gołowiński cofnął się zdumiony.

— Kto wy? Za czym?

— Panienska! Panienska ze dwora! — ozwały się głosy w chłopskim tłumie. — Złocista ty nasza! Niech Ci Pan Jezus odpłaci!

— Wysłanko Chrystusowa! — wołał stary jakiś dziad, w religijnej egzaltacji.

— Panienska! — przedrzeźniał naczelnik. No tak ja i przy paniencie! Ja wam pokażę! Ty tam, durak! — wrzasnął na kozaka, — ispołnit' prikaz!

Kozaka, pozbawionego nahajki, zastąpił inny, i znów razy spadać zaczęły, a powietrze rozdierał nieludzki ryk katowanego mężczyzny.

Lotka chwyciła Gołowińskiego za ręce i ścisnęła je tak mocno, że wyrwać się nie mógł.

Nieprzytomna, z oczami nabiegłemi krwią, batona krzykiem tego chłopca, wołała w uniesieniu.

— Jak oni — to i ja! Każcie mnie rozebrać i bić! Jak oni — to i ja!

Gołowiński wyrwał jej się, rozwścieczony.

— Sumaszetszaja! Ja was bit' nie budu, no zakluczyt' prikażu! Panimajetie?!

Ale w tej chwili zdumienie wystąpiło mu na twarz.

Z ócz zapłakanej dziewczyny strzeliło nagle jakieś uwodzicielstwo kobiece, czarowne... skrzywione rozpaczą i gniewem rysy rozjaśniły się; na ustach zakwitł uśmiech tajemniczy...

Lotka złożyła białe ręce, ręce — kwiaty, na mrozie nawet ręce — lilije i podniosła je ku jego twarzy. Z przymkniętymi oczami, z odchyłoną w tył głową, z uśmiechem uwodzicielskim na ustach, była taką, jakiej jej jeszcze nikt nie widział w życiu.

— Ja pana proszę! — szeptała — przestań! Bądź dobry! Bądź kochany!

Wzięła go.

Roześmiał się! Ujął te złożone jej ręce i ucałował.

— Wobec tego niespodziewanego pośrednictwa — rzekł, obracając się ku swemu otoczeniu, a nie widząc wyraźnego sprzeciwu...

— Prośba wasza wysłuchana! — rzekł do Lotki i rzucił rozkaz:

— Prekratit'!

Jęki ucichły... patrzyły po sobie zdumione gromady... a Lotka, rozogniona, biegła od jednego moskala do drugiego. Śmiejąc się i płacząc jednocześnie, zapraszała do dworu, obiecywała wino, radość, śpiew...

— Muzyka jest jeszcze od wesela — mówiła — zatańczymy! Czyż nie lepiej bawić się i cieszyć?!... A tych ludzi puścić! Prawda, pan im pozwoli pójść do domów wszystkim, wszystkim!...

— No wszystkim, wszystkim!... niech już będzie, jak chcecie. Może się tym czasem namyśla... ja sam bym rad pokojowo... macie wpływ na nich... przemówcie do rozumu...

Ale Lotka nie słuchała.

— Do dworu proszę, do dworu! na przekasę, na zabawę! — wołała.

Moskale propozycją byli oczarowani.

— No gaspada! tak my chyba „do dworu“? Czas odetchnąć! — rzekł Kutanin, naczenik powiatu.

— Czas, czas! — wszyscy radzi byli chwilowemu odprężeniu nerwów.

— A tę swołocz rozpedzić do domów! Dość mają na dziś!... Koniom kozackim pozwolicie, madame, siana?

— Wszystko! wszystko, co trzeba! Żołnierzom każe wydać wódki z gorzelni!... Proszę siadać!

Podjechały sanki dworskie, bo stangret domyślił się jechać za panienką. Lotka wskoczyła do sanek i pociągnęła za sobą Gołowińskiego. Na przodzie usiadł młody adjutant z jarzącymi się zimnym ogniem oczami. Reszta czynowników siadała do swoich sani.

— W konie!

Pognali, jak wicher.

Obejrzała się Lotka.

Na śniegu klęczały tłumy unitów...

Przerażenie Cioci Frani jest nie do opisania. Przerażenie, zgorzienie, wstyd!...

Lotka tańczy z Moskalami! przechodzi z rąk do rąk! Gorą światła, kłębią się dymy cygar, wino płynie strugą!

Jan i kucharz Wincenty usługują. Pojęli w lot intencje pani, więc znoszą z piwnicy conajbardziej wystawne wina, conajętsze konjaki.

— Cruchonu im przyrządę; już ja im przyrządę cruchonu — szepce Wincenty do Lotki.

Żydowski grajkowie z miasteczka do omdlenia rąk grają walce i polki, ale Kutanin żąda trepaka.

— Siemionow, zatańcz ty trepaka! pokaż damom, jak się tańczy.

Grajkowie tłumaczą się, że tego tańca nie umieją grać, że nut nie mają.

— Zwieniewski! siadaj do fortepianu!

Siemionow nie ma z kim tańczyć, bo Lotka, znudzona, siadła obok Gołowińskiego i kielichem starym, o jakichś zatartych herbach, pije z nim bruderszaft. Śmieją się, szepcą, z oczu do oczu latają im błyskawice...

Więc Siemionow skoczył do Justysi, która otrzymała poufny rozkaz nieodstępowania pani.

— Ty prekrasna! Ty somnoju.

Justysia uciekła do kredensu, ale Siemionow pogończył za nią, przyprowadził i na środku salonu puścił się przed nią, w prysiu...

— Zwieniewski! prędzej! Cóż za tempo! ty polskaja drań!

Wśród tego wszystkiego kręci się ciocia Frania, drżąc ze strachu i wstydu. A w salonie jest coraz głośniejsze i coraz weselejsze.

Już kapitan Gonczarow, który pija tylko czysty spirytus, pojedynkuje się szaszka ze swoim sobowtórem w lustrze. Mówi przytem z polska po moskiewsku:

— Ach ty, mierzawiec! nie będziesz już ludziom wypruwał flaków!

Bryzg szkła!...

Kapitan przytomnieje.

— Pardons, mademoiselle! Mille pardons!

— To nic! — śmieje się Lotka, szczerze uradowana — to nic! proszę do nas, kapitanie!

Wincenty wnosi właśnie wagę ponczu.

Kapitan płacze...

— Chciałem ukarać tę swołocz tam... głęboko... tam w lustrze... — lka po rosyjsku.

— Nie udało się! Niech pan to niepowodzenie zapije ponczem, to pana uspokoi!...

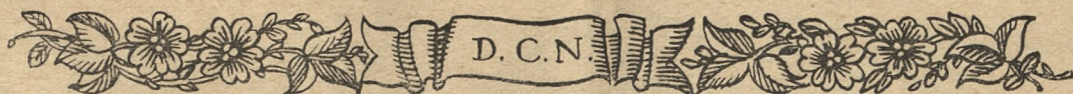
Kapitan wychyla duszkiem szklanke i już jest uspokojony. Zasnął w fotelu.

Ale Siemionow hula wciąż na środku salonu i Gołowiński wciąż trzeźwy jeszcze! Rozgorzał w nim sentyment i upić się nie pozwala.

Napróżno z całych sił pracuje nad tem Lotka. On odgadł zamiar i śmieje się,

— Ja wiem. Pani chce doprowadzić mnie jaknajprędzej do stanu Gonczarowa... kielich za kielichem!.. wino rzecz cudowna! ale od wina lepsza jest miłość! Lewkadja Antonowna! Wy nie znacie jeszcze, co miłość... spróbujcie! Nic na świecie słodszego!

Tak, jak w moich ramionach, nie będzie ci już potem nigdy!



WIKTORJA RYMWID - MICKIEWICZOWA

REZYGNACJA

*Ach widzę to teraz tak dobrze, jasno, niezbiecie:
nie mogę swojego życia zmienić na inne życie.*

*Ciężkie są jego więzy i trudne są obowiązki,
szlak jego bardzo ciernisty, gościniec stromy i wąski.*

*Nie jest to żaden handel i nic mi się nie opłaci,
znajdę najgorszych wrogów pośród najdroższych braci.*

*I ci, dla których od słońca idę w głębokie ciemnie,
zmienia się prędko, wyrosną i pójdą sobie ode mnie.*

*I jedna jest tylko rada na wszystkie troski i smutki —
to, że pracy jest wiele i to, że życie jest krótkie.*

WIEJSKA DROGA

*A kiedy się jedzie
wiejska droga pachnie dzikiem zieleń,
świeżą ziemią i skoszoną trawą,
końskim potem i lekką kurzawą,
polem, dalą, słońcem i weselem.*

JARZĘBINY

*Powiedle i ciemno czerwone są jarzębiny.
Lato tak prędko przeszło. Horyń jest szaro-siny.
Pola świeżo zorane i świeży zapach ziemi.
Nic się więc nie zmieniło? — I nic się nie zmieni
— chyba na gorsze.*

PONAD WSZYSTKIEM

*Sens wszystkiego jest prosty, jasny i niezmiernie głęboki:
migoczące, pełne gwiazd niebo, a dołem — czarne obłoki —
zwyczajne, zwyczajne życie, pustka, rozłąki, odjazdy
miłość — wielka, żarliwa — ponad wszystkim — wysoko
— jak gwiazdy.*



ANDRE SALMON

PODRÓŻNI BEZ BILETÓW

Tłum. Teresa Tatariewiczowa

- Hallo! kolego!
- Czy to już czas?
- Well!
- Well, powiadasz?
- Yes, gotowe?
- Pewnie, kiedy trza, to trza...
- Masz stracha; tem gorzej dla ciebie.

Gdzież tam, stary Billu; ale przecież leci to to sto dziesięć na godzinę, a tor, to nie pierzyna. Dla ciebie to frajda — nic nie ryzykujesz. Cyferblat i tak miałeś raz nazawsze zamalowany w Texasie. Ale ja, mój stary, dbam o moją fizykę.

- Nic ci nie będzie. Gotów jesteś?

— Nigdy jeszcze kolegi nie puścił w trąbę... a zresztą... nie mogę tu i tak zostać... Z powrotem klawo będzie jechać za biletami... pierwszy raz w życiu z przyjemnością zapłacę.

— Hallo! zrób tak, jak ja. Wyciągniesz się najprzód na stopniu, potem zwinięsz się w kłębek i powoli przechylish się na prawo, a jak zawołam: Play, wyprostujesz się nagle, staczając.

- Rozumiem, jednak..

— Skok wcale nie jest niebezpieczny, największe niebezpieczeństwo już minęło! boy, kontroler, jak ty go nazywasz, nie spostrzegł nas. All right! Wielki czas na nas, trzeba zeskoczyć. Hallo! Bo choćby pociąg się nie zatrzymał, my tu wysiadamy.

— Czyś pewien, że poznasz landszaft w tych ciemnościach?

— Yes, perfectly well! Jesteśmy oddaleni o siedem kilometrów od willi.

— Psiakrew! Z powrotem fundujemy sobie sleepingi. Och! Uwazasz?

- Cicho!

— Pociąg zwalnia... zatrzymuje się... zrobili to dla nas, a to ci klawe frajerzy!

- Cicho! wyskakujmy. Ani słowa! Hop!

- ...Bierzmy nogi za pas.

- Nie żałujmy klawiszyl!

— Nie dymaj tak, Angliku, cholero; niechaj trochę odsapnę! Psiakrew, gałęz przekłeta! Nie, nic mi nie jest. To nam się udało; ryzyko skakać w biegu. Odjeżdżają bez nas. Dowidzenia kompanji! Szczęśliwej podróży, frajerom! Co za klawy pociąg, spóźniony tylko o 12 minut. Już zniknął... Gdybyśmy nie mieli interesu w tych stronach, byłbym się jeszcze trochę przylewał do tej blondyny na korytarzu. Nie była ona tak całkiem prawdziwą blondyną: włosy utlenione, a cyferblat wymalowany wedle gustu klienta; gorset ścisła figurę, gdzie trzeba; wstążki, podwiązki — sztywnie-modnie! Cóż na to poradzić, brzydki mnie naturalność.

- Hallo! Cóż ty nie idziesz dalej? Wykoleiłeś się?

— To ty jesteś z żelaza. Rozbiłem sobie kolano, przeskakując przez rów. Czego się rehoczesz?

- Babal...

- Niekoniecznie.

- W Ameryce...

— Znowu zaczynasz zawracać kontrafałdę Ameryką! Ameryka i Ameryka... zawracanie tylko głowy,

a jak chcecie zarobić, to wracacie do nas... Bill, nie przejmując się, zapalił krótką fajkę i, podając paczkę tytoniu Navy Cut Francuzowi, rzekł:

— W Ameryce, frajerze, podróżować bez biletu nie tak łatwo!

- Nie gadaj.

— Shut up. Nieraz jeździłem tam bez biletu, bardzo niebezpiecznie. Ostatni raz było strasznie, ale i bardzo zabawnie.

- Opowiedz, stary Billu.

— Zaraz. Miałem wszystkiego dziesięć dolarów w kieszeni. Nie wystarczało to na podróż trzydniową. Dawniej podróżowałem na dachach pullmanów. Yes Ale kontroler zruca poprostu z wagonu. Yes. Tak, poprostu.

- To dzikie obyczaje.

— Nie, to rzecz całkiem zwyczajna. Ale Bill nie chciał być zrzucony. Postanowiłem więc podróżować wolniej, ale za to bezpieczniej. Ukryłem się w wagonie z węglem, jadącym do Frisco. Dobra. Spałem, skostniały z zimna, węgiel obcierał mi nogi, śnieg ciał mi twarz, było mi bardzo źle. Wtem usłyszałem węgiel chrupiący pod czyjemiś stopami. Ktoś się do mnie zbliżał, przechodząc z wagon na wagon. Widziałem tylko twarz jego, z brodą, pokrytą śniegiem, oświetloną czerwoną latarką wzniesioną wysoko. Człowiek ów, zbliżywszy się do mnie, brutalnie zaświecił mi w twarz swoją przekłętą czerwoną latarką. Lewą rękę wpakował do kieszeni i zawołał: „Hands up!”, potem mruknął wstętnym akcentem szwedzkim, bo to był świeżo upieczony Amerykanin: „Gdzie jedziesz?” a ja na to: „Tam gdzie i ty, do Frisco”. „Co tam masz w rękę?” „Dziesięć dolarów dla ciebie”. Łotr pokiwał latarką, podrapał się w ucho i, zdecydowawszy się, rozkazał mi: „Dawaj!” Schował dolary do kieszeni i szepnął mi do ucha: „Podnieś się i, nie mówiąc ani słowa, idź za mną, nie spuszczać ani na chwilę oka z latarki. Wyruszysz, jak zawołam: Hop! Za każdym razem, jak kiwnę latarką, przeskoczysz na następny wagon. Trzeba liczyć: jest ich osiemdziesiąt siedem do mojego furgonu. Nie możesz tu pozostać, więc cię tam ukryję. Wstań więc i ruszaj jak zawołam; uważaj na latarkę”. Zimny wiatr kłął mnie w oczy i oslepił, lokomotywa niska, silna, dzielna (nie podobna do waszych tandetnych maszyn francuskich) buchała dymem i zasłaniała człowieka z latarką. Nie wiedziałem czy mam skakać, czy też czekać. Rozumiesz?

- Psiakrew! można odrazu zwarzjować.

- Poczekaj, to jeszcze nic!

- Tylko nie blaguj! Poznam odrazu.

— Wiem, ale mówię prawdę. Słuchaj! Dym się rozwał i, ujrawszy kiwającą się czerwoną latarkę, przeskoczyłem. Doliczyłem się już pięćdziesięciu dwóch wagonów, ale nie byłem pewien, czy się nie pomyliłem i czy miało ich być osiemdziesiąt pięć, czy osiemdziesiąt siedem? Myślałem, głupi, że to ma wielkie znaczenie. Nie czułem już zimna. Koszula, mokra od potu, przylepiła mi się do pleców, zęby szczykały

i, choć nie było w tej chwili dymu, nie widziałem latarki. Zawolałem. Nikt nie odpowiedział. Co robić? Pewnie myślisz, że najprostszą sprawą było iść na przód. Tak, ale w tych ciemnościach, nie wiedząc, co się ma przed sobą... powiadam ci, że trudno się było zdecydować. Myśli łomotały mi w głowie, jak kamienie, aż mi głowa pękała. Myślałem wciąż o latarce, dlaczego jej nie widać? Nie trwało to dłużej, niż dziesięć sekund — ale wydawało mi się, że to wieki całe minęły. I nagle upadłem z twarzą rozbitą na węgle.

— Dostałeś?

— Yes. Coś się zmieniło w stukocie tego przekłętego pociągu. Zdaje mi się, że się dobrze wyrażam. Dźwięk ten stał się bardziej przytłumiony, głuchy, jakby przyplaszczony w całym tego słowa znaczeniu. Dym pełzał teraz wprost po węglu... kasłałem, łzy ciekły mi z oczu, i zrozumiałem. Byliśmy w tunelu. Lotr konduktor, znając dobrze linię, zahustał, cholera,

latarkę, żebym skoczył, a sam położył się na węglu, by uniknąć śmiertelnego oderzenia tunelu, ale myślał, że mnie... Tunel był długi; doliczyłem się do dziesięciu minut, drząc, jak nigdy wczasy całego swojego życia Bill jeszcze nie drżał, aż wreszcie w strachu usnąłem; śniły mi się okropne zmy, a węgiel obijał mi boki... Pewnego wieczoru, było to we Frisco, gdy piłem whisky w barze z dwoma Włochami z Gamorry, drzwi się otworzyły i wszedł konduktor, ale tym razem bez latarki. Śmiech mnie bierze, ile razy sobie przypomnę, jak krzyknął. Zobaczywszy mnie, śmiejącego się i wznoszącego kieliszek za jego zdrowie, oparł się o drzwi i uciekł, nie przepiwszy do mnie. Widocznie bał się duchów.

— Byczy chłop z ciebie; mnie się nic podobnego nie zdarzyło; ale pokażę ci dzisiaj, mój Jankesie, francuską odwagę i spryt. Ty, silniejszy, wyważysz drzwi, a ja jestem zgrabniejszy, jestem o wiele zgrabniejszy od ciebie!

(d. c. n.)



JÓZEF JANKOWSKI

3)

SZOPEN I PANI SAND

EMPIREUM PANI SAND. — PIERWSZE ZAWIĄZKI MIŁOŚCI

Szopen blady zbliża się do pani Sand. Ona patrzy na niego jakimś przerażeniem zachwytu. Usta jej drgają, jak w płaczu, lecz słowa nie wymówią. Naraz ruchem raptownym chwytając leżący na konsoli kawałek papieru, zanurza pióro w wykwintny kałamarz, prawdziwe dzieło sztuki, stojący tam obok czystych arkuszy nutowych, kreśli, jak rzutem piorunu, słowa: *On vous adore — Georges —* i podsuwa bez namysłu kartkę Szopenowi.

Szopen odczytał kartkę i uniósł na autorkę jej w milczeniu oczy. Spotkały się z jej oczyma, pełnymi łez i ognia, pozostały tak przez dłuższą chwilę i, mimam, pocałowały się w tym ogniu i w tych łzach.

Szopen złożył z namaszczeniem kartkę na czworo, ukrył ją na piersi, bez słowa powstał i z wielką wytwornością pocałował ją, po polsku, w rękę. Ręka jej dłużej zatrzymała rękę Szopena, jakgdyby nie mogąc oderwać się od niej.

Kiedy, po skończonym wieczorze, przy wyjściu, Szopen podawał okrycie pani Sand, przytuliła się nieznacznie jedwabiami swych piersi do jego piersi. Ciepło mocne i wonne wionęło od niej na Szopena i objęło go całego zarzewiem. Rumieniec wystąpił na jego twarz.

Nocy tej Szopen spał niespokojnie.

Nazajutrz o szarej godzinie złożył jej wizytę w l'hôtel de France na rue Lafitte, gdzie wówczas mieszkała.

Zastał ją samą. Oczekiwała go. Mówili nie wiele, rzucając słowa, jak łuski niepotrzebne, drżący i niecierpliwi owocowi rychłego z pod nich. Wreszcie sama, w tym szarym wiosennym zmroku, rozchyliła mu swe

ramiona. Wsunął się w nie, jak dusza wsuwa się w sen i opada na wezglowia rojenia. Jak treść do swej formy, jak duch do swego ciała, przywarł dopasowany. Ciepło niewolące, ciepło wonne jedwabne, przypominające raje uścisków macierzyńskich, tylko razem tak inne, tak gorąco pojące, tak zawrotnie rozkoszne kształtem miękkim pod sobą, sklepiło go już, jak los mocny, decydując o śmierci i życiu. Usta ich pragnące same się odnalazły, i dusze zatoczyły niepomnie. Niepomnie — niezupełnie, gdyż pani Sand w tem uniesieniu nadziemskim rychło już błyskami trzeźwemi notowała w pamięci wrażenia, jako materjał do książki.

Trzeba znać naturę Szopena. Człowiek ten wytworny, nie tylko zewnętrznie, lecz nadewszystko — wewnętrznie, dusza nieskazitelna, ładem patryarchalnym i cnotami polskimi namaszczona, pomimo zewnętrznej swobody i zalotności, wyobraźnią natchnioną niecone, w stosunku do kobiet, nie znał namiętności i zmysłów rozpalenia. Cała jego namiętność szła na sztukę, cały proces rozdźwięku duszy i ciała, proces pierwotny grzechu płci, w idealnym tym człowieku kierował się dotychczas nie na rzecz osobistą zmysłów, lecz na wyobraźnię twórczą, na dzieło muzyczne.

Oburzę zapewne panów fizjologów, gdy powiem, że do złączenia się węzłem miłosnym z panią Sand, t. j. do dwudziestego ósmego roku życia, Szopen pozostawał w czystości płciowej. Nie będę zresztą, kruszył o to kopij, gdyż właściwie chodzi tu o co innego: chodzi o to, że dotychczas Szopen nie złożył na ołtarzu miłości razem swego ciała i duszy, i że nastąpiło to dopiero w stosunku do pani Sand. To

jest pewne. Rozumiał on miłość i węzeł miłosny poważnie, po chrześcijańsku, jako nierozzerwalność, jako „dwie dusze w jednym ciełe”. Chciał zawrzeć związek małżeński i ideał ten urzeczywistnić. Los deskę mu do tego związku z pod nóg usunął. I wtedy ten sam los dla duszy, której wždy „ciężko samej na tej ziemi”, nadarzył ciepło zawodne, na próby i doświadczenia ogniowe, jak trzeba, by ideał zupełny artysty i człowieka wykształcić. I Szopen los ten już naoslep przyjął.

Światło, rzucone tu na naturę Szopena, wytłumaczy nam wiele rzeczy w stosunku jego z panią Sand: wytłumaczy nam jego wymaganie wyłączności uczuć, tak niezrozumiałe dla pani Sand, wytłumaczy troskę jego o dzieci pani Sand, o ład moralny, o czystość obyczajów, wytłumaczy mękę jego z powodu niepodziału duszy, z powodu odmienności poglądów i natury, wreszcie, potrzebę upojenia się zawodnego ciałem pani Sand dla zapomnienia nieszczęścia duszy.

Wszystko to w urok jeszcze większy przystraja nam Szopena.

Rzeczą krytyki muzycznej jest dopatrzeć się tego pogłębienia tonu w utworach Szopena, jakie spłynęło z pełnej realizacji jego życia — z bolesnej jego miłości.

Niedługo po tem pierwszym miłosnym sam na sam z Szopenem, 28 maja r. 1838, pani Sand pisze do swej przyjaciółki, pani Marliani. Surowy i zmroczony Pifföel z Dziennika poufnego, przekształcony odrazu w dzierlatkę:

„Droga moja piękna, otrzymałam twoje dobre listy i pilno mi odpowiedzieć gruntownie, bo wiesz, że czas jest zmienny w porze miłości.

„Mówi się wiele w jednym tygodniu: tak, nie, owszem, ale, i często mówi się zrana: stanowczo to nie do zniesienia, by rzec wieczorem; za prawdę—to szczęście najwyższe.

„Oczekuję, tedy, by ci napisać na prawdę, że barometr mój wskazuje coś — jeżeli nie stałego, to przynajmniej pewnego na jakiś czas. Nie mam najmniejszego wyrzutu sobie do zrobienia, ale to nie racja, by być zadowoloną”.

Zdawałoby się, że przyczyną niezadowolenia pani Sand jest przyczepiony niepotrzebnie do jej życia obecnego p. Mallefille. Ale nie! Z nim jakoś da sobie radę. Jest gorsza alternatywa. Oto dowiedziała się, (lub może tylko udaje, że nie wiedziała) o narzeczeństwie Szopena, i nie wie (to już prawdziwie), że jest ono zerwane. Pisze więc długi, bardzo długi i bardzo zmienny list poufny do Grzymały, przyjaciela Szopena, w którym, dbała o przyszłość artystyczną Szopena i obawiając się, że małżeństwo z Marje będzie grobem dla tej przyszłości, obmyśla środki, wręcz nedorzeczne, podziału osoby Szopena—wobec faktu nowego miłości, jeszcze niewinnej — na duchową dla siebie i fizyczną dla Marji. List ten mógłby uchodzić za wyraz niesłychanej perwersji moralnej pani Sand, gdyby nie słuszniejsze przypuszczenie, że ten pierwszy pocałunek nowej, i istotnie o innym dla niej aromacie moralnym, niż wszystkie dotychczasowe, miłości, poplątał w głowie tej mądrej trzydziesto- czteroletniej kobiecie.

Ale niechaj mówi sama treść tego listu.

Nie chce ona odbierać Szopenowi Marji Wodzińskiej. „Nie chcę zgoła grać roli złego anioła. Nie jestem Bertrandem Meyerbeera i nie będę walczyła z przyjaciółką dzieciństwa, jeżeli jest nią piękna i czysta Alicja; gdybym wiedziała, że w życiu naszego

dziecka był związek, uczucie w jego duszy, nie pochylałabym się nigdy po woń, zachowaną dla innego ołtarza. Tak samo on niewątpliwie oddaliłby się od pierwszego mego pocałunku, gdyby wiedział, że była, jak zamężna. Nie oszukaliśmy zgoła jedno drugie, oddaliśmy się odruchowi przelotnemu, który nas uniosł oboje w inną krainę na kilka chwil”.

Zapytuje tedy, czy Marja, czy ona, według Grzymały—jest odpowiedniejsza do szczęścia Szopena: „Zapytuje mianowicie, którą z nas dwóch ma on niezbędnie zapomnieć lub porzucić, dla swego spokoju, dla swego szczęścia, dla swego życia wreszcie, które zdaje mi się być bardzo chwiejnym i wątpliwym, by przeciwieć się wielkim bólom... Gdyby złożył istnienie swe w moje ręce, byłabym wielce przerażona, gdyż, zobowiązawszy się względem innego, nie mogłabym zastąpić mu tego, co byłby dla mnie porzucił”.

Bóg tedy nie dozwolił, by odbyli pielgrzymkę ręką w ręką na ziemi. Spotykać się będą w niebie, t. j. w tej krainie, gdzie Szopen i miłość potrafiliby zaprowadzić, w krainie uścisków niebiańskich i podróży poprzez empirejskie sfery. „Chwile szybkie, jakie tam spędzimy, będą tak piękne, że starczą za całe życie tu spędzone”.

Ale i tych uścisków niebiańskich wyrzeknie się, jeżeli Marja ma dać Szopenowi szczęście czyste i prawdziwe. „Jeżeli dusza jego, zbytnio, — być może, niedorzecznie, być może, mądrze sumienna, — nie pozwala sobie na kochanie dwóch istot różnych, dwóch sposobów różnych, jeżeli ośm dni, jakie spędziłabym z nim corocznie, mają przeszkodzić mu być szczęśliwym w jego życiu domowym przez resztę roku; wówczas, tak, wówczas, przysięgam panu, że będę się starała, żeby zapomniał o mnie”. Ale jeżeli Szopen jest mniej skrupulatny, albo mniej szczęśliwy, „jeżeli szczęście jego domowe może i powinno urządzić się z kilku godzinami afektu (passion) czystego i słodkiej poezji”, — albo jeżeli tego szczęścia nie będzie domowego, wtedy, oświadcza pani Sand, zamiast uciekać od tego, którego kocha, marzy o zbliżeniu się do niego, o ile można, (nie narażając, powiada, bezpieczeństwa Mallefille'a), o przypomnieniu mu się słodkimi w godzinach pokoju i błogości, o zamknięciu go z czystością niekiedy w ramionach, „gdy powiew niebiański zechce nas unieść i prowadzić w przestwory”.

Ale zwłaszcza, jeżeli małżeństwo z Marją ma być grobem dla duszy artysty, o, wtedy należy przeszkodzić, nawet kosztem skrupułów religijnych Szopena. Jeżeli narzeczona ta ma być więzielielką, jaką jest Rosja dla Polski, pani Sand prosi niebo o wszystkie powaby Armidy, by zatrzymać biedne dziecko. Nawet jeżeli ją uwiódł, i jeżeli ją poślubia przez punkt honoru, niech nie czyni sobie tyle skrupułu. Nie powinno się dawać przyszłości w zamian za przeszłość: albowiem przeszłość jest ograniczona, przyszłość—nieskończona. Najlepiej będzie, jeżeli serce Szopena, tak jak jej serce, zawrze dwie miłości, z której jedna będzie cielesna, druga — duchowa.

„Co do sprawy posiadania, czy nieposiadania, to zdaje mi się rzeczą drugorzędną w stosunku do tego, co nas zajmuje obecnie”. Wyznaje, że nie ma zdania ustalonego co do tego. Jeżeli ma się żyć razem, lepsza łączność zupełna; jeżeli ma się żyć oddzielnie, roztropnością i prawdziwą cnotą będzie powstrzymanie się. Ale i wówczas trzeba jeszcze, by ta powściągliwość była ofiarą. Była ona bardzo urażona, gdy Szopen, w chwili opuszczania jej, okazał widoczną po-

gardę dla tego, czego ona nie odmówiłaby mu. Zdawało się, że robił fi, wzorem nabożnisiów, na gburności ludzkie, i rumienił się na pokusy, jakich doznawał, obawiając się zbrukać naszą miłość jednym uniesieniem więcej“...

Po liście tym, wycechowanym całą sztuczną romantyką epoki i osoby leciwej pani Sand, wypadki poszły zwykłym trybem życiowym: Szopen uspokoił skrupuły pani Sand oświadczeniem o zerwaniu swego narzeczeństwa, i podróże w sfery empirejskie odbywały się już coraz częściej. Mamy z tych czasów najmniej wiadomości. Początki miłości zazdrośnie się ukrywają. Pani Sand pisze tylko (Historja mego życia), że w tych czasach widywała Szopena codziennie. Czy w Nohant, czy w Paryżu, nie wiemy. Trzeba się było liczyć jakis czas z p. Mallefille'm, stąd tajemnica. Wiemy tylko, że Szopen w tym roku najmniej tworzył i najmniej wydał utworów¹⁾. Pierwsza pora miłości nie sprzyja tworzeniu.

Tak upłynęło 4 miesiące. Zbliży się zima. Pani Sand projektuje wyjazd na Majorkę — rzekomo dla zdrowia dzieci. W Historji swego życia pisze (usprawiedliwiając się jakgdvby przed opinią, że wyjazd Szopena na tę wyspę był dla niego zabójczy), że Szopen sam się nastroczył, jako towarzysz. Ale mamy dowód, że inicjatywa wyjazdu miała inny cel, wspólny, choć zarządzona była tak płocho niechybnie przez panią Sand. Oto w r. 1841 pisze w *Revue des Deux Mondes* na początku swych wrażeń z podróży, p. t. *Un hiver au midi de l'Europe*: „Wszyscy my, szczęśliwi i nieszczęśliwi, próżniacy i nowo-pobrani, kochankowie i hipochondrycy, marzymy o jakimś ustroniu poetycznym, wszyscy jedziemy tam znaleźć jakoweś gniazdo dla miłości, lub schron dla skonu“. Tak więc, *un nid pour aimer* było celem wyprawy pani Sand.

Wyruszyła sama z dziećmi w końcu października. Szopen miał nadjechać w początkach listopada, i mieli się spotkać w Perpignan, by jechać razem statkiem na Majorkę. Szopen wyjechał zupełnie *incognito* z Paryża: jeden tylko Fontana był wtajemniczony i miał mu nadsyłać listy. Skąd ta tajemniczość? Skąd wyjazd oddzielny? Miałłby cień Mallefille'a grać tu jakąś rolę?

Tak, czy owak, Szopen sam jeden, jak student, który trochę broi i sam się dziwi, że wyszedł z trybu swojej stateczności, trzęsącemi i niewygodnemi dyliżansami jechał w daleką podróż. W drodze, z biciem mocniejszym i niecierpliwyszem serca myślał o pani Sand, ze smutkiem i zasepieniem — o swoich — hen — daleko.... Za losu daleką zasłona...

Z Perpignan, na dwie godziny przed odbiciem statku, pisze pani Sand do pani Marliani:

„Szopen przybył wczoraj do Perpignan, świeży, jak róża, i różowy, jak rzepa: zresztą ma się dobrze, zniósłszy po bohatersku cztery noce jazdy dylizansowej“.

Statek *Phénicien* przewiózł ich do Barcelony.²⁾

¹⁾ Bidou, Chopin, str. 152.

²⁾ Fragmenty, podane tu, stanowią rozdział z książki, która świeżo się ukazała (u Gebethnera i Wolffa) p. t. *Miłość artysty: Szopen i pani Sand*.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Dn. 10/XI b. r. zasnęła w Panu, przeżywszy 68 lat, Św. p. Julja Moraczewska. Przez matkę — wnuczka słynnej Emilji Sczanieckiej, od dzieciństwa obracała się w atmosferze o wielkiem napięciu uczuć patriotycznych.

Z tego środowiska wypiosła ona, po za głęboką religijnością, nienawiść dla reklamy osobistej, a szczerę i głęboką ukochanie Polski. Ideałem Jej życia stała się cicha, codzienna, rzetelna praca dla drugich, najskrupulatniejsza obowiązkowość. Swe zasady wpajała w serca młodych.

Przez szereg lat, kierując pensjonatem w Warszawie, wychowała cały zastęp kobiet, dla których przykład Jej dobrych uczynków stał się wskazaniem życiowym.

O żywym, czasem prędkim usposobieniu, pod pozorami szorstkości — kryło się złote serce, zawsze wrażliwe na nieszczęścia i zmartwienia innych, czujne i ofiarne.

Wojna europejska zwiększyła tempo Jej pracy dla drugich — W r. 1914 czynna jest w kuchni dla inteligencji, wygnanej z pasa frontowego; od stycznia 1915 roku, aż do ewakuacji, prowadzi herbaciarnię na dworcu wiedeńskim w szpitalu. Co rano od 6-tej dopilnowuje wydawania śniadań, podwieczorków, kolacyj na 800, czasem 1200 żołnierzy. Za gorliwość otrzymuje odznakę Komitetu Sanitarnego.

Z Warszawy z siostrami swemi wyjeżdża na Kresy

W wędrownej karawanie tułaczy przeróżnych, którzy końmi odbywali drogę od Brześcia pod Orszę, jest ona duchem opiekuńczym, ona dodaje otuchy i uczy wytrzymałości.

Po chwilowym odpoczynku w gościnnym domu Zanów z Kochaczyna, znowu jest na posterunku w Mińsku Litewskim.

Nie odstrasza Jej pospolitość i monotonia zajęcia, na każdej placówce potrafi roztoczyć atmosferę serdecznego ciepła w około tych, którym dopomaga; a jednocześnie podwładny sobie personel, często niewykształcony, umie przywiązać do siebie i natchnąć własną sumiennością. Czy — kiedy prowadzi bursę dla sierot i dzieci, odciętych od rodzin, czy — kiedy w miesiącach wakacyjnych, zamiast odpocząć, jest kierowniczką Kolonij letnich dla 250 dzieci, zawsze jest pełną poświęcenia opiekunką, troskliwą i zapobiegliwą.

Dzięki swej dobroci serca umie zjednoczyć na tych kolonjach dzieci różnych sfer, robotników i inteligencji.

W maju 1918 r. powrót do Warszawy z wychowanekami, — starania, zabiegi o umieszczenie sierot przywiezionych w odpowiednich zakładach naukowych i bursach.

Krótki, szaromiesięczny odpoczynek. — I znowu, z chwilą wypędzenia Niemców, kiedy młodzież na froncie nie ma ciepłej odzieży i czystej bielizny, organizuje przy Kole Polek pralnię i reperownię bielizny. — Małą, bo brak środków — w wilgotnej, zimnej salce, w zaduchu brudnej żołnierskiej bielizny spędza codziennie długie godziny. — Zna studentów-żołnierzy, którzy często z zażenowaniem przynoszą tak bardzo zniszczoną koszulę, aby dostać wyreperowaną, lub inną, lepszą; zna całe zastępy szarych żołnierzyków. Swą dobrocią potrafi zdobyć ich zaufanie, wyrzucić na niejednego dodatni wpływ — jak do



kogoś bliskiego, przychodzą do Niej wyzalić się na swój los i poradzić.

Pralnią zajmuje się parę lat, aż sterane zdrowie zmusza ją do porzucenia pracy. Cztery ostatnie lata już tylko dla rodziny biło Jej gołębie serce. Cześć Jej pamięci!

Kobieta w świecie i w domu

KOBIETY SĘDZIAMI DO SPRAW ROZWODOWYCH

W Szwajcarii egzystują, jak wiadomo, sądy do spraw rozwodowych. Do niedawna sędziami w tych sprawach bywali jedynie mężczyźni, obecnie jednak stronnictwa lewicowe i postępowe wniosły do parlamentu projekt, aby na sędziów w tych sprawach nazywane były także i kobiety.

WÓZKI W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Dowiadujemy się ze Schweizer Frauenblatt'u, że władze municypalne w Bazylei przywróciły do życia dawną i zapomnianą już, na szczęście ustawę, zabraniającą wózkom dziecięcym kursowania po chodnikach miasta. Z dniem 1 stycznia wszystkie wózki dziecięce zostają włączone do gatunku pojazdów i, jako takie, muszą się posuwać po jezdni, w jednym rzędzie z dorożkami i samochodami. Zarządzenie to wywołało, oczywiście, niesłychane oburzenie w świecie kobiecym, a stronnictwa kobiece zwróciły się do rady miejskiej z protestem, podkreślając, że, o ile to zarządzenie nie zostanie cofnięte, znaczna część pracy w kierunku opieki nad matką i dzieckiem pójdzie na marne, gdyż ustawa ta naraża zarówno matki, jak i dzieci, na bardzo poważne niebezpieczeństwa,

KOBIETA MINISTREM W FINLANDJI

Finlandja jest, jak wiadomo, pierwszym krajem cywilizowanego świata, który wprowadził w czyn równouprawnienie kobiet. Długo jednak musiały kobiety fińskie czekać na tę chwilę, gdy do rządzenia krajem powołaną została pierwsza kobieta — minister.

Dn. 10 grudnia ubiegłego roku dekretem prezydenta mianowaną została panna Miina Sillanpää, posłanka do parlamentu, ministrem opieki społecznej w nowoutworzonym gabinecie rządowym.

Karjera życiowa panny Sillanpää, liczącej już obecnie 60 lat życia, przedstawia się bardzo interesująco i niebanalnie. Córka ubogiego wieśniaka, straciwszy wcześniej rodziców, idzie na służbę — zrazu do

wiejskiego młynarza, gdzie przez cały dzień dźwiga worki z mąką i ze zbożem, a wieczorami uczy się pokryjomu z książek przy blasku łożówki. Przez cały ten czas swej pierwszej pracy marzy tylko o jednym: dostać się na służbę do miasta. Miasto nie pociąga jej, tak jak inne wiejskie dziewczyny, nadzieją zabaw, pięknych strojów — nie, jej chodzi tylko o możliwość dalszego kształcenia się, bo w mieście podobno są takie szkoły, gdzie po skończonych zajęciach dziennych można wieczorami nauczyć się dużo bardzo mądrych i ciekawych rzeczy. Wreszcie marzenie małej Miiny zostaje spełnione: jest już w mieście — i rzeczywiście dostaje się na kursy wieczorowe. Uczy się zapamiętane, korzysta z każdej wolnej chwili, gotuje z książką w ręku, a w przerwach pomiędzy zajęciami domowymi rozwiązuje przy kuchennym stole zadania arytmetyczne.

Wraz z rozwojem umysłowym wzrasta i uświadomienie społeczne. Miina zaczyna się interesować losem innych pracownic, które, tak samo, jak ona, zdobywać muszą w pocie czoła swój kawałek chleba. Postanawia dążyć do zrzeszenia wszystkich kobiet pracujących dla wspólnej walki o byt. Staje się przeto jednym z najczynniejszych członków socjaldemokratycznego stronnictwa i organizuje pod jego egidą pierwsze w Finlandji związki służby domowej. Z jej to inicjatywy powstaje również pierwsze w tym kraju ognisko dla służących w Helsingforsie — zakład, w którym przyjeżdżające do stolicy wiejskie dziewczęta znaleźć mogą troskliwą opiekę i doskonałe warunki bytu, zanim istniejące przy Ognisku biuro pośrednictwa pracy nie wyszuka im zajęcia. Panna Sillanpää zostaje pierwszą kierowniczką tego ogniska i prowadzi je przez lat kilka, poczem przerzuca się do innej gałęzi pracy społecznej i obejmuje kierownictwo wielkiej kooperatywy rzemieślniczej. Niezmordowana jej energja i zapał do pracy, połączone z usposobieniem żywym, pogodnym i optymistycznym, jednają jej wszędzie przyjaciół i wkrótce staje się ona jedną z najpopularniejszych działaczek społecznych w Finlandji. To też zaraz po wprowadzeniu w życie ustawy o równouprawnieniu kobiet, nazwisko panny Sillanpää figuruje na czele list wyborczych do parlamentu. Obrana ogromną ilością głosów, piastuje ona stale odąd urząd posłanki, w r. 1916 zostaje ponadto wybrana do Rady Miejskiej w Helsingforsie, obecnie zaś — powołana na członka rządu,

Z B.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

WYDAWNICTWO JANA GEBETHNERA

POWIEŚĆ I NOWELA

T. Brudzewski — Dzwon na trwogę, — powieść.

Włodzimierz Perzyński — Nie było nas, był las.

Piotr Choynowski — Młodość, miłość, awantura, — powieść.

HISTORJA

Marceli Handelsman — Francja — Polska 1795-1845.

PAMIĘTNIKI

Gen. Bronisław Gąbczewski — Na służbie rosyjskiej.

MONOGRAFJE

Monografie artystyczne pod redakcją Mieczysława Tretera.
Tom 6-ty Mieczysław Treter — Konrad Krzyżanowski.
Tom 7-my Władysław Tatkiewicz — Al. Orłowski.
Tom 8-my Wacław Husarski — Karykatura w Polsce.
Tom 9-ty Mieczysław Sterling — Jan Stanisławski.
Tom 10-ty Władysław Tatkiewicz — Michał Płoński.

WYDAWNICTWO MICHAŁA ARCTA

FILOZOFJA

Edward Schuré — Od Sfinksa do Chrystusa — przekład Leo Rose.
Watra Przewłocki — W słoneczne jutro.
Dr. Karol Wachtl — Miljardy w służbie — Myśli Henryka Forda.

NAUKA, WYNAŁAZKI, HODOWLA

Miłośnik ptaków — Hodowla ptaków śpiewających — Kana- rek — Praktyczne wskazówki z najlepszych źródeł.
Leonard de Vordmon-Jacques — Kuracja roślinna.
Stanisław Arct — Szkice do programu gospodarczego.
St. Burzyński — Podstawy Radjotechniki.
St. Burzyński — Anteny.
Szkolne biblioteki dla młodzieży, — instrukcja i katalog



TEATR LETNI

„Albatros”, komedia w 3 aktach Mieczysława Fijałkowskiego.

Drogi, któremi chadza twórczość p. Mieczysława Fijałkowskiego są już nietylko utarte, ale zgoła wytarte. Są to drogi bardzo swojskie: po obu stronach niema drzew, dających błogi cień, a w środku — wyboje. Jedzie się tedy ze skrzypem kół i terkotaniem pudła bryczki, zwolna, jednostajnie, aż się w końcu dojeżdża do celu niezbyt ciekawego, gdzie nic właściwie nie czeka i gdzie siedzenie łądząco przypomina dalszy ciąg jazdy bryczką, jak jest monotonne i jednakie codzień. Michał Bałucki — cóż ja na to poradzę, że wszyscy recenzenci muszą p. Fijałkowskiemu przypominać to nazwisko — też nie ciekawymi drogami nas prowadził, ale jego komedje były daleko bardziej „z życia”, daleko silniej związane z rzeczywistością i, choć karykaturalnie naiwne, obserwacyjnie jednak mocniejsze. Dzięki tej życiowości, tym obserwacjom, poczciwy Bałucki stał się dziś pewnego rodzaju klasykiem. Pan Fijałkowski „klasykiem” nigdy nie zostanie. — Tak przynajmniej sądzić można na podstawie dotychczasowej jego twórczości.

Dlaczego? Bo pan Fijałkowski nie umie dobrze używać swego pisarskiego daru. Dar ten polega jedynie i wyłącznie (np. Fijałkowskiego, oczywiście) na pewnych zdolnościach obserwacyjnych niezbyt rozległego, a nawet, powiedzmy otwarcie, wcale ciasnego światka. Jest to światek dworów wiejskich pewnej ściśle określonej okolicy naszej obszernej ojczyzny. Umyślnie mówię — dworów, choć w sztukach Fijałkowskiego występują także chłopci. Ale ci chłopci nie są u siebie w chałupie, czy w polu, w codziennych szmatach przy codziennej pracy, troskach i zabawach. To są chłopci, którzy rozmawiają z panami, odświeżni, o wysmarowanych masłem włosach, chytry po swojemu, skryci i przypochlebni — ot, zwyczajnie, jak z panami. Nie twierdzę zresztą żeby Fijałkowski nie umiał takiego chłopca pokazać, i owszem, robi on to doskonale, ale twierdzę, że przez wprowadzenie chłopca światek Fijałkowskiego się nie rozszerzył. Poprawdnie dodano tu tylko jeszcze jeden szczegół charakterystyczny, konieczny może do dopełnienia całości. Bo przecież dwór, to nietylko państwo — to także i ekonom, i chłop, z interesem przybyły, i żyd kupiec, i fornale, i inwentarz i tyle, tyle innych dobrych i złych rzeczy, aż do bigosu i domowej nalewki włącznie. Ten świat Fijałkowski zna, i dotąd, pod względem przynajmniej ściśłości obserwacyjnej, wszystko jest w jaknajlepszym porządku.

Lecz, niestety, podobno najtrudniej znać własne możliwości. Panu Fijałkowskiemu wydało się (przynajmniej nam się tak wydaje)

że ten światek nie może już stanowić wystarczającego tła do nowoczesnej komedji, i że konieczne trzeba ramy tego tła rozszerzyć. O, nieszczęsna to była godzina, która autorowi „Albatrosa” przyniosła ten pomysł! Dobrze, że już przeszła, boby ją pewnie teraz p. Fijałkowski złapał za włosy i włożył po najstraszliwszych wybojach i grudzie najgorszej z pomiędzy krajowych dróg. Trudno. Stało się jednak, więc i my tej nieszczęsnej godziny w naszym sprawozdaniu pominąć nie możemy.

Gwoli owemu rozszerzeniu ram tła, wprowadził p. Fijałkowski także postacie miejskie, wśród których króluje zamorskie ptaszę, oficer zagranicznej marynarki handlowej p. Żak. Mają to być wszyscy niby ludzie nowoczesni, skrojeni według ostatniej mody wielkiego świata. Kiedy się tym interpretacjom nowego świata przez p. Fijałkowskiego bliżej przyjrzałem, doszłam do przekonania, że można tu postawić dwie alternatywy: albo pan Fijałkowski nowoczesnego świata miejskiego nigdy nie widział, albo widział go przez źle dobrane okulary. Oczywiście, druga alternatywa ma znacznie więcej szans prawdopodobieństwa. Okulary do oglądania miasta były dobrane powierzchownie i niedbale. Pan Fijałkowski, który, jak wiemy z wszechobecnymi plotek, jest sam ziemianinem, miał więcej czasu i możliwości do obserwowania świata wiejskiego. Poprostu długoletnie wzięcie się w ten zakres interesów i spraw, obcowanie z temi, a nie innymi typami, ułatwiło mu, a może nawet poprostu, zrobiło za niego robotę zbierania obserwacji. Przystępując do badania miasta, należało się potrudzić, przysiedzieć fałdów, nie przeslizgiwać się po wierzchniej pianie. Nie chodzi tu bynajmniej o jakieś zasadnicze badania, moralnych, czy społecznych przyczyn tego, lub owego zjawiska, co wcale nie byłoby na miejscu w lekkiej komedji. Nie — tu chodzi poprostu o rzetelną robotę obserwatora fotografa, lub w najlepszym razie obserwatora feljtonisty. Bo tak, jak jest, to wygląda na to, jakby dwie matrony wiejskie, które się ze swych włości z powodu reumatyzmu oddawna nie ruszają, rozprawiały o „miejskiem zepsuciu” i wogóle o dzisiejszych t. zw. gorszych czasach.

Dzięki tym miejskim typom i dzięki niefortunnemu żeglarzowi (zostawmy już lepiej „żeglarza” Szaniawskiemu, on to lepiej robi), który miał reprezentować egzotyzm, stał się „Albatros” z miłej wiejskiej ramoty jakimś blaszanym ptakiem z mechanizmem zegarowym, który trzeba co chwila na nowo nakręcać.

A ramotka była wcale miła i miejscami nawet dowcipna. I gdyby jeszcze pan Fijałkowski od czasu do czasu nie brał swego dziedzica nieco za serjo, gdyby wyraźniej podkreślił ironiczność swych obserwacji — ramotka mogłaby mieć pretensje do satyry. Często u nas z tą satyrą to jakoś dziwnie się dzieje. Napisze sobie Bogu ducha winien autor jeden, czy drugi, tak zwaną z serca płynącą rzecz, i dopiero znajomi mu mówią: „a toś pan, panie dobrodzieju, zjadł ich w kaszy”. Autor z początku uśmiecha się kwaśno, ale potem coraz słodziej i bardziej tajemniczo i w końcu sam się ma za satyryka — boć to przecież przyjemnie uchodzić za ostry język. Tu, oczywiście, tak nie było, bo przecież Fijałkowski widział wyraźnie, że jego dziedzic jest takim samym zupełnie prostakiem i chamem, jak pan Zakrzos, bogaty chłop. Ich rozmowa jest doskonała — ale jest to rozmowa dwóch chamów, z których jeden czyści paznogie, przynajmniej, jak jedzie do miasta, i pija burgunda, drugi tego nie czyni.

Tradycje takiego dziedzica — bo i o nich jest wzmianka — polegają, mam wrażenie, na jakichś wspomnieniach starek, dawno wypitych, dawno zjedzonych bigosach, kapłonach, serkach przedziwnej dobroci itp. Są to tradycje piękne, ale dość jednostronne i obejść by mogły raczej jakiegoś polskiego Brillat-Savarin'a, niż nas. Bo chyba, że dziedzicowi „jakoś się rozlaży” majątek, do tradycyji liczyć nie będziemy.

Z powodu tych niestosownych dla swego talentu przesunięć i rozszerzeń, budowa całej komedji szwankuje mocno. Bo ja wiem, zresztą, czy tylko z tego powodu? W ostatnich czasach namnożyło się w Polsce tyle sztuk, które mają doskonale związany akt pierwszy, a potem rozplývają się w jakimś sosie nieokreślonej barwy i zapachu. Obawiam się, że złośliwy jaki cudzoziemiec uzna ten sposób pisania za naszą narodową cechę — sztuki „à la polonaise”. Według tego nieszczęsnego przepisu napisany jest i „Albatros”. Chciałam jeszcze napisać coś o znanej nam wszystkim dobrze fałszywej łezce, którą pokropiony jest i „Albatros”, ale odeszła mi ochota, kiedy sobie przypomniałem, że tak wybitny krytyk, jak Adam Grzymała-Siedlecki też pisze sztuki z łezką. Niech on sam tę łezkę, jako krytyk, wreszcie raz napiętnuje. Uczyni to napewno lepiej i ostrzej, niż ja.

Sztuka pana Fijałkowskiego napewno będzie miała powodzenie — przedewszystkiem, jednak, dzięki doskonałej obsadzie. Pan Frenkiel-Lipowiecki i pan Zelwerowicz-Zakrzos dali w drugiej akcie prawdziwy koncert gry aktorskiej. Pan Leszczyński „usypatyczny” rezonera Żaka i tchnął życie w tę powierzchowną postać. Pani Gorczyńska była pełną wdzięku Anną; p. Różańska zagrała „nowoczesną pannę” z temperamentem; pani Roterowa dzielnie sekundowała pp. Frenklowi i Zelwerowiczowi. Z.P.

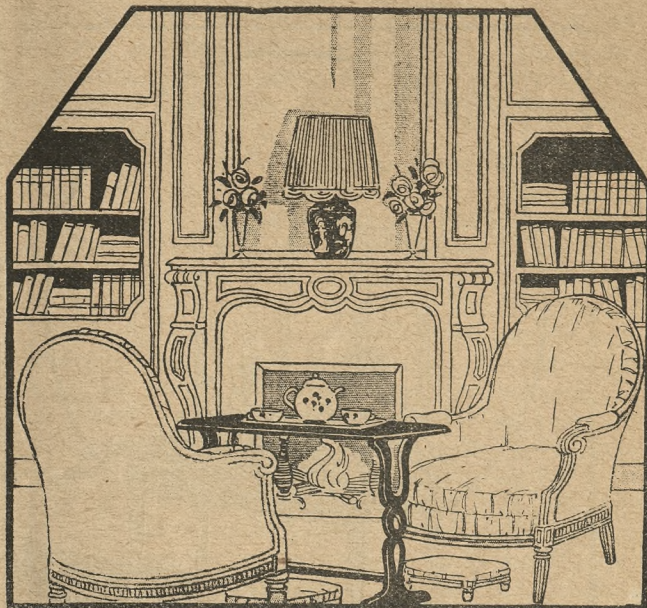
DOBRY SMAK KOBIECY, A ULUBIONY JEJ KĄCIK

Jest nieunikniona, logiczna harmonja pomiędzy osobą, a kątem, który sobie obiera najchętniej. Jej przyzwyczajenia, rodzaj zajęcia, jej gust, kolor i linja ulubionych bibelotów, komfort, który nad inne przekłada, zdradzają się w tym ulubionym kąciku.

To skojarzenie jest tak naturalne, że jeśli chcemy wywołać obraz której z naszych przyjaciółek, to wnet się zjawia na tle swego ulubionego kącika, niby w ramach. Gniazdko urocze, które sobie utworzyły w domowym ognisku i gdzie zgromadziły przedmioty ulubione, rzeczy, służące ich upodobaniom intelektualnym, artystycznym, lub poprostu, kokieterijnym.

Kobiety światowe nie obejdą się bez stolika do gry, bez pudełek do mah-jonga, i t. p. Intelktualistki pragną mieć pod ręką biblioteczkę, zawierającą nowe utwory, wówczas, gdy inne układają na półkach podręcznych jedynie utwory klasyczne. Wydelikaczone — zamykają swe gniazdko wśród skrzydeł parawanu; poetyczne — otaczają się kwiatami, różami ułożonemi w głębokich czarach, liljami hieratycznymi, wychylającemi się z czarnego, wysmukłego wazonu. Sposób oświetlenia tego ulubionego kącika także wyraża stan duszy naszej! Marzycielki lubią półcień; zalotne lampkę o szerokim, różowym abażurze, która nadaje cerze świeżość i czyni twarz młodą; pracownice znowu wołają lampkę na ruchomej osi, której promienie można skupić na jednym przedmiocie. Fantastki chcą mieć wesołe oświetlenie, abażury o rysunkach wyszukanych, rzucających na ściany ruchome cienie.

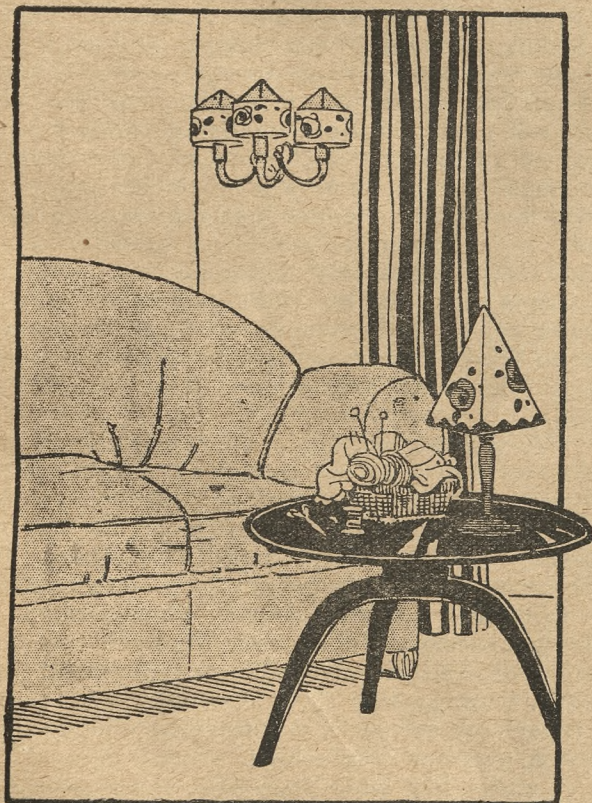
Nieco duszy pani domu zawsze unosi się w tym zakątku, gdzie przesiaduje chętnie.



rys. 1

Budując sobie gniazdko ulubione, nie wyobrażajmy, że działamy egoistycznie. Gdyśmy je stworzyły wedle swych upodobań, jest ono ślicznym obrazkiem, wśród którego poruszamy się harmonijnie, gdzie jesteśmy miłe i pełne prostoty, bo czujemy się sobą i bo czujemy się w niem dobrze.

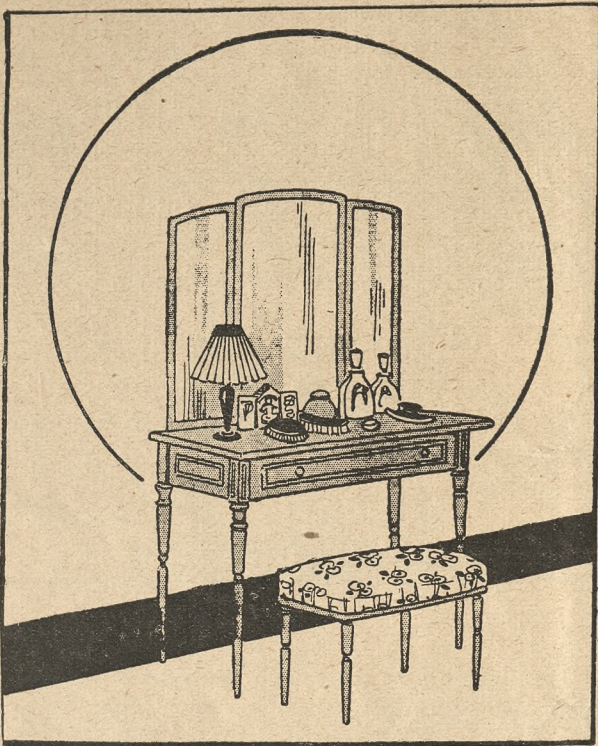
Zbyt często źle odróżniamy swe niejasne aspiracje i brak nam jasnej myśli przewodniej, aby zorganizować gniazdko, które najbardziej nam odpowiada; oto kilka wzorów typowych dla pomocy niedoświadczonym. Mały kącik dla tych, co lubią przyjmować i rozmawiać — z dwoma fotelami, tak ustawionemi, że się



rys. 2



rys. 3



rys. 4

wydaje, jakby gwarzyły ze sobą (rys. 1). Ogień płonie jasno, herbata zaparzona w imbryku, a z całości wieje poczuciem komfortu i gościnnością. W pobliżu kwiaty, półki z książkami; prawa strona poświęcona poezji, lewa—prozaikom.

Dla tych, coperacują, ramy Louis-Philippe zmodernizowane, stworzone z kanapy zaokrąglonej i z okrągłego stołu, polakierowanego na jakiś żywy kolor. Ten zmodernizowany styl 1830 pasuje do abażurów papierowych, o żywych barwach współczesnej sztuki. Na stole koszyk okrągły, jak niegdyś babuni, pełen rozmaitych przedmiotów, potrzebnych do pracy (rys. 2). W takim kąciaku zacisznym i ciepłym pracowita pani domu spędzi niejedną miłą chwilę nad ładną i pożyteczną robotą.

Kącik pracy umysłowej upiększa się meblami stylowymi. Jestto biurko eleganckie w stylu Ludwika XV-go (rys. 3), na którym złożone są wszystkie przedmioty, potrzebne do pracy umysłowej: listy, pisma, księga rachunkowa, broszury, miesięczniki. W głębi parawan, który jest jakby odgrózeniem od wizyt rozprasających i daje możność oddania się pracy, wymagającej skupienia.

A zalotnisia? ona też posiada swój kącik dla strojów. Nie biurko, ale gotowalnia na której teka, kałamarz i t. d. zastąpione są przez flakony, szczotki, pulweryzatory, puderniczki (rys. 4). Obok gotowalni wygodny tobolet, bez oparcia, które krępuje ruchy rąk przy czesaniu i innych zabiegach toaletowych.

W głębi nie parawan, broniący od nieproszonych gości, ale lustro które powtarza nasz obraz i odbija w nieskończoność to sanktuarjum piękności.

O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

DWÓR WIEJSKI

Co pewien przeciąg czasu umiera jakaś forma budownictwa. Stało się to z obronnym zamkiem, później z wielkim pałacem, obecnie przyszedł czas na wiejski dwór. Jeśli użyłem słowa śmierć, nie znaczy to, aby w pewnej chwili miały zniknąć z powierzchni ziemi wszystkie wymienione budowle. Bynajmniej. Do dziś znajdują się feudalne zamki, zamieszkałe okrągły rok, jak i pałace. Chodzi oto, że się przestało budować nowe zamki. Przestało, bo nie były potrzebne ani zwodzone mosty, ani fosy, ani obronne donjon'y. A później, gdy się zdemokratyzował świat, nikt już nie wznosił sobie małych Wersali, Trianonów, z osiowem założeniem parku na dziesiątki kilometrów, z ogromnemi stajniami, oficynami, manezami. Zakładano tu i owdzie parki zbytłowne, stawiano pałace, ale już nie w tej skali, a nadewszystko, nie w tym charakterze małych „dworów“. Dziś przyszła kolej na dwory wiejskie. Prócz tych, zmiecionych zawieruchą, pozostało wiele i będą one trwać długie lata. Lecz, niestety, nowych dworów nie będziemy oglądali.

Tych dworów z gankiem na słupach, z gankiem, spowitym w festony dzikiego wina, lub bluszczu. Dworów z białymi ścianami, lśnąciami w słońcu z za krzaków bżów i jaśminów, z za bukietów sztampowych róż. Białych dworów o oknach z okiennicami, z łamanym, pociemniałym dachem, na który sypią się jesienią złote liście lip i klonów, rosnących wokoło. Dworów o mrocznym wnętrzu, pachnącem suchemi ziołami i owocami, pełnem starych pamiątek, wspomnień i tradycyj. W dużym salonie pono niegdyś sztab wojska polskiego za powstania obradował całą noc... W jesionowej szafie wisi suknia prababki, w której na balu wileńskim zwróciła uwagę cesarza Napoleona... W kantorku dziadunia są kajdany, w których szedł przez rok i trzy miesiące za Bajkał. Umarł ten dwór. Dwór, co latami stał cichy, jakby bez życia, pełen łez i myśli o tych, co wyszli na daleką północ. Snuły się po komnatach ciemne postacie w szerokich sukniach, z ciężkimi krzyżami na piersi. A po wielu, wielu latach zajaśniały blaskiem okna, bijąc łuną w ciemną noc, daleko wokoło. Sprowadzona z miasteczka kapela grała nieumęczona, aż słońce weszło wysoko. Porozsuwały się ściany, przestronno się zrobiło w komnatach, wyniesiono gdzieś na górę zbędne meble.

We dworze bal. Sąsiedztwo z dziesięciu mil zjechało, na folwarku aż gęsto od karet i powozów. Biją w cichy, zdziwiony park melodie mazurów, oberków i smętnych walcy wiedeńskich. W jadalni stół trzeszczy pod natłokiem jadła. Odkopano baryłkę wieloletniej starki i drugą miodu. Uśmiechają się twarze dziadków, nieumiejętnymi dłońmi domorosłych malarzy uwiecznionych, a zawieszonych szeregiem na ścianie. Chwieje się żyrandol w takt dziarskich hołubców, i przygasają pocziwe naftowe lampy-kule, po rogach na kolumnach ustawione. Huczy dwór wesolnością, gwarem i śmiechem.

I znów idą lata. Poznikały ciche dwory wzdłuż wschodnich rubieży. A nad pozostałymi warczą śmigła aeroplanów. Tętni po szosie automobil. Ze stolicy



plyną fale radjowe w ciemną noc ponad kraj. Jazz Band w Ziemiańskiej gra Charleston'a. Przyszło nowe życie. Stary, kochany dwór stał się coraz trudniejszy do zamieszkania. Pokoje przechodnie, za wielkie, niestawne. Brak łazienki i innych prymitywnych wygod. Okna za małe, sufity za niskie. Trzeba koniecznie nowy dwór stawiać.

Nowy dwór. Gdzieś w starym parku na miejsce zapadłego w ziemię dworku z czasów Augusta Mocnego. Gdzieś nad bystrą rzeką kresową, gdzie wogóle nie można się prawie doszukać śladów po zburzonym dworze, w parku, przeoranym betonowymi okopami. Muszą po ziemi polskiej wyrosnąć dwory nowe, kędy stare nie służą, lub gdzie ich brak. Tylko, że nowe życie inaczej pokieruje ręką architekta, kreślącego plan. Inne podszeptnie pomysły pan dziedzic, gdy mu grożą reformy i podatki. Inne są wymagania higieny. Wykwitnie z zieleni krzewów, lśniący białymi ścianami, błyszczący szybami wielkich okien, nowy dwór. Musimy się strzec jednak, aby nie przenosić ślepo na nasz grunt form z zachodu. Możemy, przyrzawszy się domom amerykańskim, angielskim i francuskim, wyciągnąć przeróżne korzyści i znaleźć wskazówki, ale nigdy nie należy stawiać obcych kopij. Bo mamy swój odrębny klimat i przyzwyczajenia, krajobraz i tradycję, materiał budowlany i wymagania. To, co gdzieindziej jest świetne, u nas właśnie może wypaść fatalnie. Czy to za wielkie okna, czy schody zewnętrzne. Ale, z drugiej znów strony, musi zewnętrzny wygląd dworu zmienić się też. Bo, skoro wnętrze inaczej się dziś ułoży, nie można zachować formy, będącej już tylko maską powierzchowną, do której trzeba, chcąc ją zachować, nałamywać sztucznie układ nowego dworu.

Nowy dwór będzie mniejszy. Dwór przeciętny, średnio zamożny. Odejdą sala balowa i buduarci na spoczynek. Znikną pokoje starych rezydentów, alkierze i bokówki. Powstanie hall, sieni, widna, duża, ciepła w zimie, chłodna latem. Wchodzimy do niej przez sionkę małą, byle swobodnie drzwi otworzyć. Z sionki zaraz w bok drzwi do szatni. Z szatni wejście do umywalni i klozetu. W większym dworze można dać z sieni dwie garderoby-szatnie, dla panów i pań, połączone bezpośrednio z hallem. Jednak hall musi być połączony i z sienią, aby w lecie uniknąć przechodzenia przez szatnię. Z hallu mamy gabinet pana, salonik, lub bibliotekę, jadalnię, no i konieczne połączenie bądź bezpośrednio z kredensem, bądź przez korytarzyk. Pokój pana musi się łączyć z kancelarją i z sionką kuchenną. Bardzo wygodnie, o ile kancelarja ma okna na dziedziniec folwarczny, skąd widać cały ruch gospodarczy. Koło jadalni kredens, za nim przez korytarz kuchnia, spiżarnia, zmywalnia. Koło kredensu pokój lokaja. O ile dom stoi na pochyłości, doskonale jest mieć pralnię pod kuchnią, można tam też urządzić łazienkę dla służby i W. C. Salonik, zwany też pokojem pani, gdy ma miłe cechy użyteczności w postaci biureczka, stolika do robót, czy szafki z książkami — łączy się z tarasem, albo pergolą, z południowej strony przylegającą do domu. O ile od podjazdu bardzo pożądany jest niewielki ganek-podcień, aby w czasie słoty ułatwić wyjście i wejście do domu, to weranda od ogrodu daje zawsze ciemny pokój, którego okna na nią wychodzą. Schody na górę lepiej jest zawsze mieć izolowane ścianami, a nie włączone w organizm hallu. Wyobraźmy sobie pożar, wybuchający właśnie w hallu, wówczas niema prawie wyjścia dla będących na górze, choć należy mieć zawsze drugą

klatkę schodową dla służby. Na górze znajdują się pokoje sypialne, po dwa złączone łazienką i ubieralnią, pokoje dziecinne, bony, gościnne. Jeszcze wyżej pokoje dla służby, pokój dla nauczyciela, mały gościnny. Gdzieś na dachu rozepnie się antenę.

Przyszły dwór będzie musiał mieć choć jeden automobil. A ów wymaga garażu. Na zachodzie garaż włączono w skład domu. Ma on połączenia wewnętrzne z korytarzem, można w każdej chwili doń dojechać, przygotować maszynę i od razu z pod dachu wyjechać w drogę. W czasie słoty jest to nieoceanione. Przyłączenie garażu zmienia całkowicie sylwetkę dworu. Dwór musi być jasny. Niesłychanie malownicze są stare, olbrzymie drzewa, osłaniające potężnymi czuprynami dach domu, ale w niemożliwy sposób zaciemniają wnętrze. Dziś cienisty park musi być usunięty conajmniej o kilkadziesiąt kroków od domu. Robienie szklanych ścian jest u nas zbędne. Mamy na to za ostry klimat (ostatnio, co prawda, bardzo złagodniał), a hermetyczne instalacje są za kosztowne przynajmniej narazie. A przytem, wyobraźmy sobie śnieżną zimę. Biały całun, leżący przez parę miesięcy. Refleks byłby tak oślepiający, że trzeba by okno-ścianę wciąż zasłaniać, a więc poco ją robić? We Francji śnieg jest rzadkim gościem. Czy robić płaskie dachy? I tak, i nie. Dla dworu, jednak, raczej nie. Bo, mając jeszcze dość dużo wolnej przestrzeni wokoło, nie potrzebujemy uciekać się do ogrodów na tarasie-dachu. Chyba urządzić jeden taras do zabaw dla dzieci, gdy na wiosnę idzie z ziemi chłód i rozmiękają ścieżki parku — lub do słonecznych kąpieli.

Tak się, mniej więcej przedstawi schemat nowego dworu. A ileż może być odmian, pomysłów, drobnych zmian, różnic w założeniu, zgrupowaniu. A pozostanie jeszcze opracowanie wnętrza. Lecz te nie będą się różniły zasadniczo od swych siostrz z domu podmiejskiego, z willi, z miejskiego mieszkania. W przyszłości zatrą się granice pomiędzy wsią, a podmiejską okolicą. Zmniejszona własność ziemską zwróci się do przemysłu, powstaną przy dworach wytwórnie, jeśli nie masła i sera, to konfitur i konserw, lub jeszcze jakieś inne. Trudno przewidzieć, jak się zmodyfikuje życie w przyszłym polskim dworze, dworze skromnym, oszczędnym, dworze, połączonym szosą i telefonem z miastem, a anteną z całym światem. Dworze, tętniącym pracowitem życiem, jednym z kół wielkiej maszyny państwowego, społecznego bytu. *Zygmunt Knothé.*



W OKRESIE BEZLISTNYM

Gdy cykl drugi kursu ogrodniczego, urządzonego przez Koło Miłośników Ogrodnictwa, dobiegał do końca i mieliśmy się zegnać ze słuchaczami serdecznym życzeniem „Wesołych Świąt! i do zobaczenia na następnym cyklu — w początku przyszłego, bodajby lepszego roku!” — jedna z uczestniczek postawiła mi pytanie, co można uczynić, czy przedsięwziąć dla dobra ogrodu w jego okresie bezlistnym?

Nieubłagany dzwonek, ogłaszający koniec godziny wykładowej, nie pozwolił mi rozwinąć tematu wobec kursowiczów, więc podnoszę go na łamach „Bluszczu”, w nadziei, że może wśród łaskawych Czytelniczek znajdą się również osoby, które ta sprawa zainteresuje. Bo pozorna martwota, ogarniająca całą przyrodę i sen zimowy, ujmujący w swe okowy rośliny ogrodowe, bynajmniej nie zwalniają od pracy ani ogrodnika, ani miłośnika, dbałego o plony w roku następnym. Krótki dzień zaś zmusza do tem intensywniejszego wyszkania tych godzin, w ciągu których dobroczynne słońce pozwala nam pracować w parku, lub sadzie.

Sprzątnięte z pola warzywa, spoczywają w kopcach, lub piwnicach. Gdy temperatura nie jest niższa, niż 4° C., należy w dni pogodne wietrzyć kopce, warzywa przebierać, usuwając te, które podlegają zepsuciu, ażeby nie zarażały pozostałych. Należy też przebierać przechowywaną na strychach cebulę. Jeżeli trzymamy ją w t. zw. klatkach, czyli przewiewnych pudełkach, to trzeba ją przesyypać, przyczem także zepsute, lub gnijące, oddzielamy. W razie nadejścia silniejszych mrozów — trzeba kopce okryć starannie grubszą warstwą ziemi, łęciami ziemniaczanymi, łętami od szparagów, albo liśćmi. W piwnicach okienka należy zamknąć, a może nawet zatkać liśćmi, lub nawozem. Z głębokich inspektów, czy z piwnic, wybieramy jeszcze pozostałe kalafjory w miarę ich dojrzenia i zużywamy endywię na sałatę. Korzenie cykorji, zagrzebane pęczkami w wilgotnym piasku, w ciepłym pomieszczeniu wytworzą świeże liście, które stanowią tak pożądaną w zimie świeżą zieleninę. Szczypiorek i pietruszka, zasadzone do doniczek i ustawione w kuchni na oknie, dostarczą nam natki.

Zbliża się też pora zakładania pierwszych inspektów ciepłych, na warstwie nawozu gorącego, grubej na 50 do 60 cm. Sposób postępowania przy zakładaniu inspektów opisałem szczegółowo w jednym z pierwszych numerów naszego pisma z r. 1926, dodam więc tylko, że im wcześniej inspekt założymy, tem więcej będziemy mieli do pokonania trudności i tem uporczywszą walkę z prawami natury, a głównie z ujemnym wpływem braku promieni słonecznych, niezbędnych do życia roślin. Kto więc na polu gospodarowania w inspekcje pierwsze stawia kroki, niech lepiej z zakładaniem przyspieszników poczeka przynajmniej do pierwszej połowy lutego.

Po nowym roku zaczyna się też cięcie i oczyszczanie drzew w sadzie. Jeżeli tylko silny mróz nie staje na przeszkodzie, to należy przerzedzać korony drzew. Najlepiej robić to w dwie osoby, przyczem k erujący pozostaje na ziemi, a wykonawca wdrapuje się na gałęzie i wypiłowuje te konary, lub odnogi, które mu zostaną wskazane. Zaczynać trzeba zawsze od gałęzi najgrubszych, później przychodzi dopiero kolej na drobniejsze, nie odwrotnie. Najprzód ulegają usunięciu gałęzie suche, chore lub ocierające się o sąsiednie. Poza tem można jeszcze wyciąć te, które

są umieszczone niekorzystnie dla rozwoju korony, o ile przy tem kształt samej korony nie ulegnie zepsuciu, ani nie powstaną w niej luki. Wogóle przerzedzanie koron należy prowadzić oględnie i w jednym roku nie usuwać zbyt dużo gałęzi, bo to wywołuje gwałtowny przyrost drzewa, a często pojawianie się wielkiej liczby „wilków“, t. j. silnych, prostych pędów, wyrastających często pęczkami, zwłaszcza na zgięciach konarów. Wilki takie przez pierwsze lata są niepłodne, a zagęszczają koronę i odciągają wiele soków. Dlatego lepiej przerzedzanie koron, nadmiernie zagęszczonych, rozłożyć na lat parę. Wszystkie rany, powstałe po ucięciu grubszych gałęzi, należy wygładzić ostrym nożem, a następnie zasmarować maścią ogrodniczą, albo smołą. W braku tych materiałów można użyć farby olejnej. Cięcie nie powinno iść równoległe do pnia, lecz nieco skośnie, to znaczy, że piłka powinna wejść w drzewo dalej od nasady konara, a wyjść tuż przy pachwinie. Dzięki temu, powierzchnia rany będzie bardziej zbliżona do kształtu koła i mniejsza, zaś po zagojeniu nieznaczny garbek zniknie. Po ucięciu gałęzi odrazu gładko, powstanie w przyszłości zagłębienie, gojenie zaś rany trwać będzie znacznie dłużej.

Jeżeli jednak na drzewie, nie ciętym nadmiernie, pojawiają się obfite wilki, to są one oznaką, że coś jest nie w porządku, i że trzeba drzewo poddać starannemu zbadaniu. Więc czasem drzewo jest posadzone za głęboko, czy osiadło wskutek wadliwego wykonania sadzenia, albo zostało zasypane przy oraniu ziemi na rzędy drzew. W tym wypadku trzeba usunąć z pod całej korony tyle ziemi, ażeby odsłonić nasadę korzeni. Za płytkie stanowisko jest wiele mniej szkodliwe, niż choć trochę za głębokie. Korzenie, pozbawione swobodnego dostępu powietrza, nie mogą należycie spełniać swego zadania.

Czasem wilki pojawiają się na drzewach starych, w których soki już krążą z trudem i nieprawidłowo. Takie drzewa, o ile pozatem są zdrowe, można z powodzeniem odmładzać, skracając energicznie wszystkie gałęzie, a miejsce powstawania wilków staje się często pożądaną wskazówką, jak daleko należy gałęzie uciąć. W tych wypadkach wilki, przerzedzone i skrócone o trzecią część ich długości, wkrótce przekształcą się w pędy owoconośne, a drzewo może odzyskać utraconą żywotność i płodność. Naturalnie, w związku z odmładzaniem, musi iść wydatne zasilenie drzewa na wiosnę.

Drzewa młode, w ciągu paru pierwszych lat po posadzeniu, powinny ulegać corocznemu przycinaniu, ażeby korony ich formowały się prawidłowo. I tu jednak trzeba zachować rozsądne umiarkowanie, bo przycinanie pobudza drzewa do silnego przyrostu, odwlekając początek owocowania. Wszystkie pędy, ukazujące się na pniach drzewek, trzeba usuwać, przycinając je ostrym nożem „na obrączkę“, czyli wzdłuż śladu zgrubienia, otaczającego nasadę latorośli. Jeżeli u stóp pnia wyrastają odrosty korzeniowe (szczególnie pospolite u wiśni i śliw), to trzeba ziemię odgarnąć, ażeby odsłonić nasadę tych odrostów, i wyciąć je gładko ostrym nożem, a nie wyrąbywać po barbarzyńsku siekierą lub łopatą, co pociąga za sobą kaleczenie przyległych korzeni i powstawanie tem liczniejszych odrostków. (d. c. n.)

Stan. Schönfeld.



SKROMNE PRZYJĘCIE KARNAWAŁOWE

Wszyscy wkoło narzekają, że życie towarzyskie w domach prywatnych zamiera, że mało kogo stać na przyjęcia, że drożyzna i ciężkie warunki ekonomiczne na nie nie pozwalają, że młodzież ma tylko dancingi publiczne do zabawy, a te pod wielu względami nie są miejscem odpowiednim, przynajmniej dla tej najmłodszej, jeszcze uczącej się, a już pragnącej rozrywki, młodzieży. Otóż mam zawsze wrażenie, że w tem rzeczywiście zamieraniu życia towarzyskiego dużą rolę, dużo większą od trudności ekonomicznych, grają niechęć do kłopotów, połączonej z każdym przyjęciem, pani domu, — nieumiejętność obliczenia, co, w gruncie rzeczy, taniej kosztuje zabawa w domu, czy też poza domem, no i nasze dawne przyzwyczajenia, konieczna chęć stosowania trybu życia do norm przedwojennych, co dzisiaj jest już zawsze prawie ponad stan nasz, ponad środki.

Nowe tańce, tak surowo krytykowane, są może mniej ożywione, niż dawne mazury, oberki i walce, (zresztą już dzisiaj wracające do mody,) mają jednak jedną niezaprzeczną zaletę, wymagają dużo, dużo mniej miejsca i dają możliwość zabawy na małej bardzo przestrzeni. Moda, wszechwładna pani, która każe dawniej na każde tańczące zebranie zapraszać wszystkich znajomych, wymagała takich salonów, w których nie tylko wszyscy ci znajomi zmieściłby się mogli, lecz jeszcze tylu kanap, aby się na nich zmieściły wszystkie mamy i ciocie, tylu stołów do kart aby przy nich znaleźli miejsce wszyscy ojcowie, wujowie i inni starsi, nie tańczący panowie. Dzisiaj starszych panów nie tańczących niema prawie wcale. Każdy, cienki, czy gruby, o ile nie woli spędzać wieczorów przy zielonym stoliku w kasynie, klubie, lub na specjalnych wieczorach kartowych, bierze lekcje u różnych Sobiszewskich, Kuryłłów i innych, mniej znanych, i dancinguje sobie codzień prawie, od piątej do jedenastej.

Mamy i ciocie też przeważnie wołają kino, bridge'a, jour'ki z pogawędką i ploteczkami, jako rozrywki, w których bardziej czynny udział biorą, niż patrzenie na tańczącą młodzież i drzemanie na kanapach. Zwykle jakaś jedna, dwie, bardziej do poświęcenia zdolne, towarzyszą swoim bardzo młodym latoroślom, najczęściej jednak rola przyzwoitki spada na gospodynię domu, która nieraz matkować kilku, lub kilkunastu przybranym córeczkom, musi. Szczupłość mieszkań nie pozwala spraszać dużej ilości osób naraz, więc się dobiera mniejsze grono tańczącej młodzieży, tej, którą się lepiej zna, z domów, gdzie się częściej bywa — jeśli chodzi o mniej bliskie osoby, uważa się, aby zapraszać razem takie osoby, które między sobą się lepiej znają i częściej spotykają, gdyż smutnym nader jest los młodej osoby w towarzystwie mało znanem, szczególnie dzisiaj, kiedy żadne prośby, ani groźby nawet nie są w stanie nieraz zmusić panów do tańczenia z innymi paniami, niż z temi, z którymi przyszli, do których przywykli.

Tutaj wszystko zależy od taktu i umiejętności już nietyle gospodyni domu, zajętej innymi sprawami, lecz panny, lub panien domowych. Ich rzeczą jest poznać wszystkich i roztoczyć specjalną pieczę nad temi paniami, które mniej całe towarzystwo znają. Jakiś jeden, drugi kuzyn, lub dobry znajomy, da się

skłonić do puszczenia w ruch tych nowicjuszek. Dobry przykład zarazi innych pociągnie i wszyscy się z równym ożywieniem bawić będą. Niestety salony i saloniki, warszawskie przynajmniej, wiele pod tym względem pozostawiają do życzenia. Z zabawy w domu korzystają przeważnie panny domowe o innych mało, lub wcale nie myśląc, — a młodzież tak do tego przywykła, że wszelkie wstawiennictwo na rzecz mniej znanych im tancerek, uważa za karygodny zamach na jej prawo wolnego wyboru.

Przy twierdzeniu, że zabawa na dancingu taniej kosztuje, zapominamy zwykle o kwestji toaletowej. W domu prywatnym, w niedużym salonie, przy skromnym oświetleniu kilku lampek elektrycznych, najskromniejsza sukienka, byle gustowna, czysta, szybko zrobiona i twarzowa, mile wygląda i dziesiątki razy może być użyta.

Zupełnie co innego w sali dancingowej, gdzie silne światło licznych żyrandoli, duża sala, i eleganckie toalety innych pań, zmuszają do strojów kosztownych i efektownych. Tem kosztowniejszych, że obecna moda oprócz sukni wymaga bajecznie kosztownego obuwia — w domu prywatnym jedwabny czarny pantofelek może służyć do każdej sukni, w sali dancingowej każda sukienka wymaga odpowiedniego piścidełka z lamy, inkrustowanej brylantami, perłami, liworyzowanych, haftowanych, malowanych arcydzieł. A przybranie głowy, lśniące chociaż fałszywymi, tem nie mniej kosztownymi kamieniami i wielkimi paradyzami, rajerami i t. p.?

A futra kosztowne, zawieszane na ramiona?

Dawniej przywilej noszenia tych wspaniałości był udziałem mężatek tylko, no i to tylko takich, którym na to środki pozwalały. Dzisiaj osiemnastoletnia panienka czuje się pokrzywdzoną, jeżeli nie ma białego lisa, wachlarza ze strusich piór, pantofelków z lamy i haftowanej strass'ami sukni. Biuralistka codziennie obiadu nie będzie jadała, obciąży kilkumiesięczną pensję splatami rat, ale na dancing się zjawi ubrana, jak żona bankiera. Częstsze zabawy prywatne dużą tamę by temu położyły. Powstrzymać młodzież od zabawy niema sposobu, to jej prawo, przywilej młodości, należy jej tylko dać możliwość zabawy taniej i przyzwoitej, a to jest w ręku pań domu i rodziców tej młodzieży. Nie wszędzie jest fortepian i mało kto gra dzisiaj do tańca, taperzy zaś są drodzy. Lecz tańce nowoczesne kontentują się wybornie dźwiękami gramo—czy też patefonu.

Gdzie jest radjo — a gdzie go dziś niema?! tam, zdobywszy gdzieś, trochę za kosztowny jeszcze dzisiaj dla wszystkich głośnik, można tańczyć przy jazzbandzie z Paryża, Londynu, lub Rzymu. Pozostaje więc kwestja przyjęcia. Jeżeli idziemy na dancing, przeważnie kontentujemy się kawą czarną, kieliszkiem likieru, pączkami, lub kieliszkiem wina. Czemu więc w domu prywatnym ma obowiązywać kolacja, chociażby à la fourchette? Jeżeli dancing jest popularniowy, czarna kawa, faworki domowe, albo pączki, (w Warszawie najlepsze, bo najpewniejsze cukiernicze,) parę butelek domowej nalewki, zdrowszej od kupnych likierów. Jeżeli dancing późniejszy, (oczywiście nie do rana, lecz do jakiejś drugiej w nocy,) po przyjęciu gości herbata z ciastem, (ewentualnie też faworkami, czy pączkami,) a około północy kilka tac dobrych tartanek małych, a smacznych, trochę wódki czy konjaku. Jeżeli te tartynki są prawdziwie smaczne i jest ich obfitość, doskonale zastąpią zimną kolację

à la fourchette. Mają tę zaletę, że nie trzeba do ich podania oddzielnego pokoju, podaje się je i zjada tam, gdzie się tańczy. O jednym paniom, lubiącym efekty kolorystyczne, przypominam: że szczypiorek, sos majonezowy i pomidory są przy tańcach niedopuszczalne, — pierwszy pozostawia w ustach nieprzyjemny zapach, dwa drugie plamią niemilosiernie.

Jeśli goście się zasiedzą, filiżanka gorącego barszczyku, lub czarnej kawy doda sił i wigoru tańczącym. No a lemonjada cytrynowa, lub żórawinowa, stojąca gdzieś w wazie na uboczu, jest mile widziana przez tancerki i tancerzy.

Pani Elżbieta.

SOSY I MAJONEZY

W ODPOWIEDZI P. ZULI

W przemiłym liściku, otrzymanym od jednej z młodziutkich naszych czytelniczek, dostałam równocześnie podziękowanie za swoje dobre chęci dopomożenia młodym gospośiom w ich ciężkiej praktyce życiowo-gospodarskiej i wymówkę, że nie zamieściłam żadnych wskazówek o sosach. „A przecież — pisze z zachwycającą praktycznością pani Zula, — dobry sos z kartoflami, kaszą, kluskami — to nieraz podstawa obiadu. Mięso, przy dzisiejszych cenach, stanowić musi tylko dodatek!“ Z pokorą przyznaję się do winy, a chcąc ją naprawić, obiecuję nauczyć Panią Zulę nie tylko robienia sosów bez klusek, ale i tak wykwintnych, jak i oszczędnych sosów majonezowych, które w karnawale usświetnią jej wtorkowe herbatki, dadzą jej miano „dobrej gospodyni“, a przedewszystkiem pozwolą połączyć taniostwo z elegancją, co dziś bardziej, jak kiedykolwiek, jest na czasie. Na co nie wystarczy kieszeń, dopełnić musi inwencja — aby się tylko nie dać zmóc pod żadnym względem ciężkim warunkom. Refleksje pani Zuli i mnie sprowadziły na manowce i zamiast o sosach, rozpisałam się o ciężkich czasach! Widzę, jak moja miła interlokutorka z pogardą wzrusza ślicznymi ramionkami — ba, przecież przy tylu zajęciach domowych niema czasu na — romanse. Zajmijmy się, tedy, sosami i powiedzmy, że podstawą ich jest mąka i masło, dlatego każda gospodyni powinna bardzo uważać na jakość mąki i masła, mających być użytymi na zaprawkę, od nich bowiem zależy dobroć sosu. Na wszelkie białe sosy, po zagotowaniu łyżki masła, wsypuje się weń łyżkę osianej pszennej mąki i gotuje na wolnym ogniu, mieszając ciągle, aby się mąka nie zrumieniła. Zaprawkę rumianą robi się tak samo, z tą różnicą, że zamiast białej mąki, trzeba użyć rumianej. Kto chce mieć sos ciemniejszy — niech go przyfarbuje karmelem, który, zrobiony i wlany w słoiczek, w kuchni mieć należy. O przygotowaniu karmelu pisałam w jednym z poprzednich numerów.

Na mąkę rumianą trzeba wziąć pół litra pięknej, suchej mąki pszennej — wsypać ją na patelnię i tak długo łyżką na ogniu mieszać, aż nabierze brązowego koloru. Wtedy ściągnąć z ognia, mieszać, dopóki nie ostygnie, osiać, rozcierając uformowane krupki, wsypać w słoik — zawiązać go i mieć pod ręką do ostrych sosów. Mając przygotowaną zaprawkę białą, czy też rumianą, ściągnąć ją z ognia, rozprowadzić kilkoma łyżkami zimnego rosołu, lub wody — kiedv już kru-

pek nie będzie, dolać — mieszając ciągle — resztę smaku i zagotować na małym ogniu. Jeżeli wlelibyśmy większą ilość gorącego płynu do zaprawki, zrobią się kluski, prawie niemożliwe do roztarcia. Gdy sos dosyć gęsty, trzeba go doprawić, zależnie od tego, do czego może służyć, ekstraktem Maggi'ego, Cabulem, lub Soy'a. Do wielu sosów dolewa się wina maldery, lub białego Sauterne, tu należy pamiętać, że wino wlewa się do sosów na samym wydaniu. Sosu gotować z winem nie można — bo straci ono moc i zapach. Jeżeli chcemy dodać treści i połysku sosom, trzeba przed samym wydaniem, nie gotując już więcej, włożyć pół łyżki deserowego masła, roztartego na śmietanę z jednym, lub paroma żółtkami — stosownie do ilości sosu.

Podstawą sosu majonezowego jest dobra oliwa; przez ukręcenie jej z małą ilością dodatków, powiększa się jej objętość. Najlepszy majonez, zwany „provençal“, robi się, biorąc na 1 litr oliwy trzy żółtka, całą cytrynę, trochę cukru, pieprzu i soli. Drugi rodzaj: zrobić białą zaprawkę z dwóch łyżek masła, 2 łyżek mąki, szklanki smaku, lub rosołu i do zimnej wkręcać powoli poprzedni rodzaj majonezu — przez co powiększa się ogromnie jego ilość. Trzeci rodzaj — do ukręconych 20 deka oliwy z trzema żółtkami dobierać potrochu smaku z ryb, lub z drobiu, dodając dwa deka żelatyny, bić trzepaczką. Gdy dobrze zgęstnieje dodać mocnego octu, lub cytryny do smaku. Tego majonezu przybywa najwięcej, i jest najpulsniejszy — służy do nakrycia pod garnitur ryb gotowanych, drobiu i t. p.

Te majonezy służą do smarowania mięsa i ryb. Chcąc mieć sos do zimnego mięsa, szynki, lub ryby gotowanej, ukręcić sos podług pierwszego przepisu — dodać do niego dwie łyżeczki białej angielskiej musztardy, kilka usiekanych bardzo drobno korniszonów, lub kaparów, poprzekrawanych na cząstki, dolać łyżeczkę mocnego octu, albo lepiej wcisnąć pół cytryny. Gdyby sos się zwarzył — trzeba odkręcić go w sposób następujący: rozetrzeć jedno świeże żółtko na drugiej miseczce, dodawać do niego po troszku zważonego sosu — a naprawi się zupełnie. Sos warzy się tylko jeżeli za gwałtownie lejemy oliwę, która powinna być wpuszczana po kropli

Chcąc podać elegancką sałatkę z jarzynek (można użyć gotowanych w rosole), dodać do nich pokrajanych w drobną kostkę pozostałych kawałków pieczonej, lub gotowanej cielęciny, wymieszać wszystko z trochę sosu — resztą oblać po wierzchu sałatkę, ładnie ułożoną w piramidkę, i przybrać po wierzchu piklami, jajkami na twardo, listkami sałaty etc.

A teraz, na zakończenie, oszczędny sos, który zwłaszcza do tej sałatki w zupełności wystarczy: zrobić białą zaprawkę — rozprowadzić ją paroma łyżkami zimnego rosołu, dodać żółtko surowe, łyżkę przetopionego masła, musztardy, cytryny, 2 łyżki dobrej, kwaśnej śmietany, soli, pieprzu białego i na koniec noża utartej cebuli. Sos powinien być bardzo gęsty, jasny, — naśladuje do złudzenia sos majonezowy.





BUDYŃ Z WĄTRÓBKĄ CIEŁĘCĄ

Wymoczyć przez godzin parę wątróbkę cielecą w mleku, lub wprost w wodzie, ściągnąć błonę, uduścić w rondelku z paru cebulami i kawałkiem słoniny świeżej, lub wędzonej. Dusić nie więcej, jak pół godziny, aby nie stwardniała. Przepuścić wraz z całym sosem przez maszynkę. Łyżkę masła utrzeć do białości z czterema żółtkami (na kilową wątróbkę), dodać masę wątróbkową, dwie bułeczki, wymoczone w mleku, należy je przepuścić przez maszynkę, najlepiej wraz z wątróbką, osolić, popieprzyć, dodać nieco gałki muszkatołowej, lub skórki cytrynowej, lub utartego majeranku, — co kto woli. Formę budyniową wysmarować masłem, wysypać bułeczką. Białka pozostałe ubić na sztywną pianę, wymieszać delikatnie z masą, natychmiast kłaść w formę i wstawić w rondel z wrzątkiem, który powinien dochodzić do połowy formy, aby gotując się mocno, woda nie dostała do środka formy. Gotować około dwóch godzin. W chwili podania, wyrzucić na półmisek. Do tego podaje się sos rumiany z kaparami, czy z cytryną, lub sos czysty pomidorowy.

DRÓBKA GĘSIE Z CZARNYM SOSEM

Dróbka oczyścić, opalić, wymoczyć, z nóżek ściągnąć wierzchnią skórę, maczając je w pierw we wrzątku; wątróbkę usiekać, zmieszać z pół szklanką kaszy krakowskiej, łyżką szmalcu gęsiego, jednym jajkiem, osolić, popieprzyć, dodać łyżeczkę utartego majeranku, nadziać tem skórę, ściągniętą z gęsiej szyi, zeszyć na końcach. Nastawić dróbka w niedużej ilości wody, z włoszczyzną, pieprzem, listkiem, Ugotować na bardzo miękko, aby prawie odpadały od kości. Szklankę krwi gęsiej, spuszczonej na ocet i lekko osolonej, rozbić z rosołem, łyżkę mąki zasmażyć z łyżką masła, rozprowadzić rosołem ze krwią, dodać parę utłuczonych goździków, nieco cukru, zagotować. W salaterce ułożyć ładnie pokrajane dróbka, (szyjkę się kraje w plastry) zalać sosem i podać bardzo gorące. Do tego można podać odgotowany włoski makaron, lub też kaszę krakowską, ugotowaną na sypko z masłem.

LIN Z KASZĄ GRYCZANĄ

Dużego, przeszło kilowego lina, oczyścić, nasolić, niech tak poleży godzin parę. Ugotować parę grzybków z włoszczyzną, cebulą, listkiem, pieprzem. Zcedzić ten smak, zalać nim wypłókaną, sparzoną wrzątkiem i odcedzoną kaszę grubą, czarną, gryczaną, dodać sporą łyżkę masła, wymieszać, ugotować na wolnym ogniu, lub upiec w piecu. Grzybki pokrajać w paski, zasmażyć sporo cebuli w maśle, zmieszać z grzybkami. Lina pokrajać na dzwona i ugotować w małej ilości wody osolonej z pieprzem i cebulą. Ryba powinna być tylko nawpół ugotowana. Nelsonkę, lub rondel ładny, wysmarować masłem, ułożyć rząd ryby, polać grzybami z cebulą, na to dać rząd kaszy, znowu rybę, grzyby z cebulą, kaszę, zalać to smakiem z lina, zmieszonym ze szklanką dobrej śmietany, i wstawić na pół godziny do niezbyt gorącego pieca. Podawać w tem samym naczyniu. Zamiast kaszy gryczanej można użyć domowego makaronu, także ugotowanego na grzybowym smaku. Makaron przed wstawieniem w piec posypać grubo ostrym serem, mieszanym z tartą bułeczką.

RATAFJA

Kto ma zwykłą nalewkę wiśniową, lub malinową, może z niej łatwo przyrządzić staroświecką ratafję. Ta ratafja jest bardzo korzenna, a przez to rozgrzewająca i wybornie działa na żołądek po spożyciu dużej ilości ciężkich i tłustych potraw. Do mocnej butelki, najlepiej od portera, wsypać dwa deka cynamonu, jedno deka kardymonji, tyleż goździków, wszystko grubo utłuczone, włożyć dwadzieścia ziarn ziele, zalać wszystko dwiema szklankami spirytusu, zakorkować, korek odrutować, zawinąć w ciasto chlebowe i upiec w piecu wraz z chlebem. Dać ostygnąć w chlebie. Płyn tak otrzymany dolewać po łyżce do butelki gotowej osłodzonej nalewki, próbując, czy smak jest dostatecznie korzenny. Jest to bardzo stary przepis.

KREM Z MAKARONIKAMI

Piętnaście deka makaroników pokruszyć na drobne kawałki, rozmiaru laskowego orzecha. Dwie szklanki dobrej kwaśnej śmietany ubić na lodzie, zmieszać z pół szklanką cukru, utłuczonego z kawałkiem wanilji. Sześć listków żelatyny wymoczyć w zimnej wodzie, rozpuścić w dwóch łyżkach gorącej wody, wymieszać naprzód z paru łyżkami bitej śmietany, potem z całością, aby nie było kawałków żelatyny w kremie. Formę wylać wodą, wysypać cukrem. Kłaść łyżkami krem, przekładając makaronikami i paru łyżkami konfitur malinowych, osączonych z syropu. Robić to prędko, aby krem nie zastygł. Dolna i górna warstwa powinny być z kremu. Gdy wystygnie wyrzucić z formy, obłożyć makaronikami, a w sosjerce podać syrop od konfitur malinowych.

Pani Elżbieta.

WOBEC DZISIEJSZEJ MODY KAŻDA Z PAŃ POWINNA UMIEĆ HAFTOWAĆ,

a nauczy ją tego książeczka p. t. „HAFT KOLOROWY“, zawierająca dokładne objaśnienia wszystkich modnych ściągów, do nabycia w Administracji „Bluszczo“ Krak.-Przedm. 99, w cenie 1 zł. 50 gr. Za zaliczeniem nie wysyłamy.

DOBRE RADY

Prawdziwy, czy fałszywy brylant? pyta się niejedna, lub niejeden, patrząc na świetne imitacje, doprowadzone do takiej doskonałości, że najbystrzejsze oko nie może uchwycić różnicy. Podaję tu prosty, ale pewny sposób rozpoznania prawdziwego kamienia od najlepszej, najlepiej oprawnej imitacji. Trzeba jeden i drugi zanurzyć w szklane naczynie z czystą, zimną wodą. Prawdziwy brylant nie straci nic ze swej świetności i w płynie będzie rzucił tysiące ognia, fałszywy, natomiast zgaśnie momentalnie, a tem samym podobny się stanie do tego, czem jest w rzeczywistości — do szkiełka.

* * *

Nie wszystkim jest wiadomo, że opale bardzo są czule na warunki atmosferyczne i że często nawet wskutek zimna tracą blask i śliczne czerwono-zielone ogniki. Kto chce długo zachować urodę opali, nie powinien ich wystawiać na działanie powietrza, ale nosić pod dachem i przechowywać w ciepłym miejscu, a na dworze strzec od zziębnięcia.

KORESPONDENCJE

Wieśniacze. 1). Najmodniejszy kolor pończoch jest „palony migdał” i „tête de negre”, obydwa doskonale pasować będą do przystanej próbki.

2). Lakierki wogóle są mało używane obecnie; śniegowce na ulicę są wszędzie odpowiednie, może dostać Sz. Pani śniegowce w kolorze palta w firmie „Tretorn”, sprzedawane są w Warszawie, Marszałkowska 129, w firmie Sergiu.

3). Obydwa kapelusze, o których Pani wspomina, doskonale dostosują się do palta.

4). Rękawiczki mogą być brązowe, w zimie najlepiej wyglądają cieniutkie, białe wełniane.

5). Najbardziej noszone są kapelusze z miękkiego filcu, tak zwane pilśniowe, z wysoką główką, małym rondkiem, otoczone jedynie tego samego koloru wstążeczką związaną z przodu na małą kokardkę. Poza to każdy nosi, co ma, nie trzymając się zbytnio mody — w dzisiejszych ciężkich czasach jest to ogólnie przyjęte.

6). Daje się odczuwać tendencja do noszenia kapeluszy większych, a aksamitne specjalnie są modne.

7). Filcowe i aksamitne kapelusze noszone są zawsze.

8). Ten punkt zależy od upodobania i wrażliwości skóry — nie każdy, bowiem, znosi wełnę wprost na gołym ciele.

9). Wieczorowa suknia jest mniej strojną, jak balowa, ale strojnieszka od wizytowej, którą używa się w popołudniowych godzinach. Kolor granatowy bardzo jest modny, a zrobiona w tym kolorze krepowa suknia, elegancka i przybrana odpowiednio, doskonale da się przystosować do wieczoru.

10). Żelbeton jest to skrócone żelazo-beton, czyli beton na podstawie żelaza.

11). Paltot najlepiej kupić gotowy, albo dać zrobić u dobrego krawca. Materiał dobry na paltot kosztować będzie 40 zp., potrzeba metrów mniej więcej 3—3½, gotowy można dostać za 150 zł.

12). Plisowane spódniczki, a raczej doły sukien plisowane, bardzo są ciągle noszone — góry wyrzucane również — jedwabiu potrzeba przypuszczalnie 3½ do 4 metrów.

Pani E. M. Grabowice. Do malowania na jedwabiu używa się farb spirytusowych, lub farb prof. Buszka — mających tę przewagę, że się dają prac. Farb tych dostanie Sz. Pani w Warszawie, ul. Nowy-Świat 47, w firmie J. Buroff.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dziecinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, niewysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.



WZOROWA PANI DOMU
podręcznik wykwiśniętej pani

CENA 1 zł 50 gr.
DO NABYCIA W SZĘDZIE
DR. W TOW. WYDAWNICZYM „BLUSZCZ”
WARSZAWA PL. ZAMKOWY 99

* * *

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu” organizuje komplety haftów artystycznych

Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.



„Odnawianie mieszkań i porządki domowe”

CENA 1 zł 50 gr.

PODRĘCZNIK NIEODZOWNY DLA KAŻDEGO

DO NABYCIA W SZĘDZIE!
ORAZ
W TOW. WYDAWNICZYM „BLUSZCZ”
WARSZAWA PL. ZAMKOWY 99.